№ 5. Warszawa, dnia 18 (30) Stycznia 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

1886.

„Totus mundus vae clamabit".

O Roku Nowy! wejście twoich zorzy,
Same nam smutne wróżby rozpowiada:
Gdy się twe skrzydło nad ziemią rozłoży,
Świat jednogłośnie ma zawołać: biada!

Już dziś w tysiączne szczątki się rozpada,
Ideał wiary i miłości Bożej,
Klęsk niezliczonych obsiadły nas stada,
Ah! czyż doprawdy jeszcze będzie gorzej?

Któż się ośmieli, w bezrozumnej pysze,
Przedwiecznej myśli roztrząsać znaczenie,
Która wszechświaty swem tchnieniem kołysze,

A złe wraz z dobrem rozsiewa w przestrzenie,
Dla ciągłej walki, której przedłużenie
W sercach ludzkości krwawe zgłoski pisze?!

Emilia.

KOBIETY HISTORYCZNE.

PRZEZ

L. S. W.

Siedm panien z Verdun.

(Dokończenie.)

Pomimo to, Mallarmé nalegał, ażeby utrzymano akt oskarżenia przeciwko wszystkim obwinionym (było ich w ogóle 35 osób) i ażeby wysłano ich do Paryża. Stało się to w Marcu 1794 roku, całe towarzystwo, złożone z osób rozmaitego wieku, śród których, obok zgrzybiałych staruszek i mężczyzn, było dużo panien jaśniejących młodością i wdziękami, odstawiono pod eskortą żandarmów do Paryża.

Panna Barbe Henry, jedna z ocalałych, opisała w swych wspomnieniach ową podróż i straszliwe wypadki późniejsze, których była świadkiem. Droga trwała całe dwa tygodnie i odbyła się dosyć wesoło, śród żartów i śmiechów całego towarzystwa; „chociaż wiedzieliśmy, dodaje panna Henry, jaki los nas czeka, ale nie mieliśmy innego wyboru, jak z rezygnacyą poddać się woli Bozkiej." Owa zaś pewność straszliwego losu ztąd pochodziła, że złowrogiej pamięci trybunał rewolucyjny nie zwykł uniewinniać nikogo i że za wszelkie przewinienia, tak zwane polityczne, w smutnej owej dobie istniała jedna tylko kara śmierci pod gilotyną...

Po drodze w St. Menehould, zkąd niedawno przedtem zawrócono do Paryża uciekającego Ludwika XVI, oficerowie miejscowej załogi, którzy niegdyś kwaterowali w Verdun, wzruszeni młodością i pięknością uwięzionych, pomiędzy któremi były ich znajome, próbowali odbić więźniów przemocą, ale to im się nie udało.

Orszak przybył nakoniec do Paryża, do ponurych gmachów więzienia Conciergerie, zkąd wychodziło się jedynie... na rusztowanie...

Trybunał rewolucyjny niebawem zajął się rozpatrzeniem sprawy verduńskiej. Pilno było tym panom, bo mało mieli czasu, wyprawiając wciąż tłumy ludzi pod gilotynę.

Wówczas jeszcze istniała komedya przesłuchania i obrony przed tym straszliwym trybunałem; jedno i drugie zniesiono dopiero później, w ostatnich już chwilach teroryzmu, jako zbyteczną formalność, skutkiem czego już samo stawienie przed trybunałem rewolucyjnym równało się wyrokowi śmierci...

Zresztą już i wtedy przesłuchanie oskarżonych i obrona faktycznie były „niepotrzebną formalnością". Przesłuchanie trwało zaledwie po kilka minut, a sędziowie nie zważali na zaprzeczenia

obwinionych ani na brak dowodów: wyrocznią był dla nich jedynie głośny prokurator republiki Fouquier-Tinville, który dla wszystkich miał wyrok potępienia i śmierci. Od czasu skazania Dantona, mało który z adwokatów śmiał występować gorliwie i szczerze w obronie podsądnych: nie było to rzeczą bezpieczną dla samego adwokata, a zresztą wszelka obrona bywała zawsze bezowocną.

Oskarżeni obywatele i obywatelki z Verdun, stanęli przed trybunałem rewolucyjnym 26 Kwietnia 1794 r. Było ich 21 mężczyzn i 14 kobiet. Z mężczyzn 3 obywateli i komendanta Neyon oskarżono ogólnikowo „o zdradę kraju", 6 obywatelom zarzucano „nieobywatelski sposób myślenia"; było tam jeszcze 5 księży, którzy pełnili swe obowiązki, nie wykonawszy przepisanej prawem przysiegi na wierność republice; wreszcie kapitana żandarmeryi i 5 żandarmów stawiono przed sądem za to, że podczas zajęcia miasta przez nieprzyjaciół, „utrzymywali w mieście porządek na korzyść Prusaków" (!). Z kobiet połowa była już w wieku podeszłym; druga połowa, to owe „siedm panien z Verdun", których pamięci przedewszystkiem poświęcony jest niniejszy artykuł. Słusznie więc należy się tym nieszczęśliwym ofiarom, ażebyśmy przytoczyli tu ich imiona. Były to: Zuzanna Henry w wieku 26 lat, Gabryela Henry 25 lat, Barbara Henry 17 lat, Anna Wattein 25 lat, Henryetta Wattein 23 lat, Helena Wattein 22 lat i Klara Tabouillot 17 lat.

To ostatnie dziewczę miało jeszcze matkę, która również siedziała obok niej na ławie oskarżonych; sześć pozostałych panien były to sieroty. Panny Henry były córkami dawnego prezydenta sądu, panny Wattein były córkami oficera, ojciec zaś Klary Tabouillot był niegdyś adwokatem. Należały więc wszystkie do wyższego towarzystwa verduńskiego, a według jednomyślnego świadectwa spółczesnych, wszystkie były obyczajów nienagannych, wykształcone i piękne.

Jako obrońca z urzędu, dodany był oskarżonym słynny Chauveau Lagarde, ten sam, który bezskutecznie bronił królowej Maryi Antoniny, a teraz nie zadał sobie wiele pracy, aby obronić niewinnych Verduńczyków.

Pomimo że sędziowie i zbierająca się na posiedzenie strasznego trybunału publiczność, przywykli już do skazywania na śmierć osób rozmaitej płci i wieku, widok pięknych panien verduńskich przed kratkami sądu, wywarł powszechne wrażenie. Tyle piękności i niewinności miało wkrótce pójść na pastwę okrutnej gilotyny.

Siedm panien stanęło przed trybunałem, trzymając się za ręce. Otwarcie i z prostotą przyznały się do zarzucanej im „zbrodni", to jest, że z ciekawości pojechały zobaczyć obóz pruski.

Gdy przyszło do roztrząsania zarzutu wsparcia, udzielonego emigrantowi de Rodes, panny Wattein okazały wzruszający heroizm, gdyż każda z nich brała tę „winę" całkowicie na siebie, usiłując oczyścić siostry od wszelkiego zarzutu.

Co do reszty oskarżonych, niewiele nawet ich słuchano: wypowiedzenie zarzutu „zdrady i sprzyjania obcemu najazdowi" było wtedy jednoznaczne z dowiedzeniem...

Dziki Fouquier-Tinville nie okazał żadnego wzruszenia: urok młodości, niewinności i wdzięku nie działał na niego już oddawna. W krwiożerczej przemowie, żądał, jak zwykle, głów wszystkich oskarżonych, nie szczędząc przytem brutalnego urągania. Tak mówiąc o owym „wozie tryumfalnym", który w rzeczywistości był najzwyczajniejszym drabiniastym, siepacz teroryzmu zawołał: „jeżeli to był wóz do gnoju, tem lepiej, bo nigdy nie był użytym stosowniej jak wtedy, gdy woził te oto kobiety do obozu tyranów."

Na wniosek tego okrutnego prokuratora, przysięgłym postawiono następujące pytanie: „czy były czynione kroki w tym celu, aby wydać Verdun w ręce nieprzyjaciół, popierać postępy ich oręża na ziemi francuzkiej, obalić swobodę i reprezentacyą narodową i przywrócić despotyzm?" Następnie wypisane były nazwiska oskarżonych a przy każdem pytanie: „czy wymieniony lub wymieniona był współwinnym owych knowań?"

Przy nazwiskach panien: Barbary Henry i Klary Tabouillot dodano jeszcze drugie pytanie: „czy oskarżona działała z własnego popędu, czy też z namowy?"

Takie zredagowanie pytań dawało poznać odrazu, że chodzi tu o największą zbrodnię stanu, a dodatek co do Barbary Henry i panny Tabouillot był skazówką, że z temi dwiema pannami trybunał rewolucyjny chciał postąpić nieco łaskawiej.

Przysięgli nawykli do potępiania całych tłumów, zrozumieli te wskazówki: uznali więc winę wszystkich, a co się tyczy wymienionych dwóch panien, przyznali, że działały z namowy innych. Na podstawie tego werdyktu, prezes trybunału Dumas, ogłosił wyrok, skazujący 33 osoby na karę śmierci, a Barbarę Henry i Klarę Tabouillot na wystawienie pod pręgierzem w ciągu sześciu godzin, następnie zaś, na dwudziestoletnie więzienie! Taką była sprawiedliwość i taka łaska trybunału, który używał godła: „wolność, równość, braterstwo"... Jedna z panien Wattein nawet wcale w obozie pruskim nie była, pomimo to jednak skazano ją razem z siostrami.

Wysłuchawszy dzikiego wyroku, panienki rzuciły się sobie w objęcia i ściskały czule ze łzami, głośno dziękując Bogu, że pozwala im posiąść koronę męczeńską i razem pójść do nieba, gdzie mają nadzieję połączyć się z rodzicami.

W owych okropnych czasach, dzikie prawo pozwalało tylko na trzygodzinną zwłokę pomiędzy wydaniem wyroku i jego wykonaniem. Trzy te ostotnie godziny skazani spędzili razem (i to już było łaską siepaczy), a że w tem gronie było pięciu księży, nie brakło więc pociechy religijnej, której innym skazanym bezbożny rząd terorystyczny wtedy odmawiał. Spowiadali więc księża i spowiadali się wzajem, dając i otrzymując rozgrzeszenia. „Ułaskawionym" pannom: Barbarze Henry i Tabouillot, pozwolono również spędzić te chwile ostatnie razem ze wszystkiemi.

Po trzech godzinach zjawił się kat, aby uciąć włosy skazanym. Zbliżył się najpierwej do panny Barbary Henry, która uważając słusznie swe „ułaskawienie" za gorsze od rychłej śmierci, chętnie chciała poddać się operacyi, aby razem z siostrami pójść pod gilotynę, lecz siostry wyrwały ją z rąk oprawcy.

Zmrok już był zapadł, gdy złowrogi orszak udał się na plac Grève, gdzie gilotyna oczekiwała na swe nowe ofiary. Tłumy ludu, przyglądające się pochodowi, były wzruszono i zachowywały milczenie; podobno nawet megery uliczne, straganiarki i pończoszniczki, wstrzymały się na ten raz od swych zwykłych złorzeczeń i przekleństw.

Lamartine (w swojej Historyi Żyrondystów) powiada, że nawet kat, sławny Samson, zapłakał, ujrzawszy tyle kobiet i pięknych panien, oddanych na pastwę gilotynie.

Egzekucya 33 verduńczyków odbywała się przy słabem świetle kilku pochodni. W godzinę wszystko było skończone.

Bezecna gazeta siepaczy, organ terorystów „Bulletin du Tribunal" nazajutrz po egzekucyi wspomniał o niewinnych ofiarach z szyderstwem i urąganiem, rzekomo ubolewając nad „źle zrozumianem (?) przywiązaniem rodzinnem i uporem panien verduńskich, które udaremniły wszelkie usiłowania trybunału (?), aby je ocalić od miecza sprawiedliwości" (!).

Nazajutrz „ułaskawione" Barbarę Henry i Klarę Tabouillot wystawiono pod pręgierzem. Napis na tablicy ponad ich głowami obwieszczał, że dwie te słabe istoty „ułatwiły Prusakom wzięcie miasta Verdun, dostarczając im żywności i amunicyi". Przykładów podobnej bezczelności połączonej z okrucieństwem, zaprawdę niewiele przedstawiają dzieje.

Nie było jednak przeznaczonem, aby Barbara Henry i Klara Tabouillot, spełniły wyrok dwudziestoletniego więzienia. Tak długo nie miały trwać rządy terorystów: już w półtora roku, po upadku Robespierra, obydwie panny odzyskały wolność. Barbara Henry żyła jeszcze w roku 1815 i otrzymała wtedy od króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, bawiącego w Paryżu jako zwycięzca, pierścień kosztowny na pamiątkę smutnego wypadku, który łączył się z dziejami pierwszej wyprawy jego ojca przeciwko Francyi.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Dziennik Bernarda.

La Savinière, Wrzesień 187...

Jestem na wsi, u mego stryja. Rozmowa z nim jest miła i zajmująca, ale przerywa się niekiedy, otóż przyszła mi myśl poświęcić wolne od niej chwile jakiejś pracy literackiej. Dziś wogóle piszą tak źle, iż zdaje mi się, że potrafię władać piórem tak prawie jak wszyscy, choć dotąd nie pisywałem nic prócz telegramów. W sąsiednim pałacu, należącym do przyjaciół mego stryja, znajduje się bogata biblioteka z której użytkować mogę. Zawiera ona znaczną liczbę dokumentów odnoszących się do XVII wieku; najpierw więc miałem zamiar korzystać z nich i zabrać się do napisania historyi Ludwika XIV, która nie udała się Voltaire'owi. Ale po namyśle wolę opisać własne moje dzieje, które naturalnie zajmują mnie daleko więcej. Czytelnik, jeśli go kiedy mieć będę, przyzna, że daleko przyjemniej widzieć w zwierciadle swoje własne odbicie, niż czyjebądź inne. Otóż ja znajduję się w tym wypadku.

Mam lat trzydzieści. Jestem wysoki, zręczny, salonowy; włosy mam blond. Tańczę dobrze i dobrze jeżdżę konno. Potomność nie dowie się o mnie nic więcej pod względem fizycznym; pod względem umysłowym, jestem dość oczytany, odnośnie do strony moralnej, nie mam z natury złych skłonności, a nawet, szczerze mówiąc, jedną

tylko znam w sobie wadę, że tak na ziemi jak w niebie, na nic nie zapatruję się poważnie. Gdy przed kilku laty, znikła dla mnie z horyzontu piękna wspaniała postać starca, którego miałem zwyczaj nazywać Bogiem, przypominam sobie, że wtedy płakałem. Od owej chwili, pogodna, niczem niezakłócona wesołość, stanowi główną podstawę szczęśliwego mego usposobienia.

W niższych klasach społeczeństwa wyobrażają sobie, że arystokracya francuzka jest zbiornikiem przestarzałych zabobonów, błędne to najzupełniej zdanie, przynajmniej co do mnie. Naturalnie czynię zadość wymaganiom towarzyskim, ale oznajmiam najwyraźniej: że najwięcej krańcowy pozytywista, najzatwardzialszy mason i bezwyznaniowiec, są tylko najzacofańszemi, przesiąkłemi przesądami babinami, w obec szlachcica piszącego ten dziennik.

Otóż stryj mój powziął zamiar ożenienia mnie z osobą, nietylko wyjątkowo nabożną, ale której cała rodzina zatonęła w najfanatyczniejszej dewocyi. Zdaje mi się więc, że ciekawy ten i zabawny ustęp mego życia, zasługuje, aby baczny i dobrze powiadomiony obserwator, opisał go dzień po dniu. Ten to wyłącznie okres skromnej mojej biografii zamierzam skreślić w tym dzienniku, nie dotykając przeszłości, jak tylko o ile to będzie niezbędnem dla zrozumienia teraźniejszości i pozostawiając przyszłość nieśmiertelnym bogom.

Nazywam się Bernard Maurycy Hugon de Montauret, wicehrabia de Vaudricourt. Ród nasz jest bardzo starożytny, herb nasz przechowuje oznaki odznaczenia się podczas wojen krzyżowych, co zawsze sprawia pewną przyjemność. Najstarszym i głową naszej rodziny, jest stryj mój, hrabia de Montoret de Vaudricourt. Przed kilku laty utracił jedynego syna i ja zostałem jedynym spadkobiercą jego majątku i nazwiska. Oboje zarówno pragniemy, aby nazwisko to nie wygasło, tylko długo nie mogliśmy się zgodzić w jaki sposób przekazać je potomności. Stryj mój na mnie składa to zadanie, ja znów utrzymuję, że przywilej ten jemu przysługuje. Został wdowcem, namawiałem go więc koniecznie, żeby się ożenił powtórnie, przekładając, że jeszcze dobrze się trzyma i nie wygląda na człowieka nie mogącego już myśléć o przyszłości. Ale pod tym względem nigdy nie mogłem pokonać jego oporu, zasadzającego się zapewnie na przyczynach których sam najlepszym był sędzią.

Stryj mój bardzo był rozrzewniony, najzupełniej bezzasadnie, bezinteresownością, jakiej zdawało się dowodzić moje namawianie go do powtórnego ożenienia. Co prawda, z dwojga złego wybierałem mniejsze, woląc poświęcić spadek niż ryzykować moją osobę, moją wolność i honor, odważając się na groźne następstwa ożenienia. Jakkolwiek, jak to powiedziałem, nie jestem bynajmniej religijnym, jednakże nie zapominam pewnych obowiązków; jednym z takich jest dla mnie niezaprzeczenie niedopuszczenie zaginienia starego naszego rodowego nazwiska i herbu, a że na nieszczęście, nie ma innego środka dojścia do tego celu jak zawarcie związków małżeńskich, zatem od czterech już lat postanowiliśmy w zasadzie, że się ożenię i mieć będę dużo dzieci.

Gdy już umowa ta stanęła, stryj powodowany właściwą późniejszemu wiekowi niecierpliwością, nalegał, abym niezwłocznie wprowadził ją w wykonanie. Wtedy-to, z obcem mi dotąd zajęciem, zacząłem obserwować młode osoby z naszego świata, na które dotąd spoglądałem najzupełniej obojętnie, ma się rozumieć, że mówię o młodych pannach. Zdawało mi się, że doskonale znam kobiety, ponieważ zawsze chętnie i z przyjemnością zajmowałem się niemi, ale panien nie znałem wcale, a przynajmniej tak mi się zdawało. Z wielkiem zadziwieniem, a muszę dodać i z wielkim żalem, przekonałem się, że przynajmniej w Paryżu, bardzo mała między niemi zachodzi różnica i że nawet obecnie wiele mężatek mogłoby z korzyścią we wszelkich przedmiotach brać lekcye od panien.

Przypominam sobie, że pewnego dnia, stara, dobra moja przyjaciołka, księżna de Castel-Moret, w pałacu swoim przy ulicy św. Dominika, wydała bal panieński, na który zaprosiła liczne grono dziewcząt od lat szesnastu do dwudziestu dwóch. Zwierzyłem się księżnej, że zamierzam się ożenić i dlatego zgromadziła w salonie swoim sam kwiat panien do wzięcia, zapewniając, że mogę na traf wyciągnąć rękę, a zawsze znajdę perłę najczystszej wody.

I rzeczywiście wszystkie te powabne, białe i urocze dziewczęta, tak skromnie tańczące z sobą, przedstawiały widok tchnący taką niewinnością, iż zdawało się, że mogę mieć jedynie kłopot którą wybrać.

Był to piękny dzień czerwcowy. Po tańcu, panny rozbiegły się po ogrodzie pałacowym, gdzie na murawie zastawiona była herbata. Usiadłem samotnie po za klombem rododendronów, probując zaprowadzić pewien ład w mojem biednem sercu; wtem jedna z tych uroczych grup przeszła z drugiej strony klombu. Było ich trzy i rozmawiały z sobą półgłosem; śmiech ich był świeży jak jutrzenka, oczy wielkie niewinne, otwarte jak kwiaty. Nastawiłem uszy. Nie powtórzę co, z największem osłupieniem, usłyszałem z tych ust dziewiczych, powiem tylko, że huzar by się zarumienił.

Zacna stara księżna, lepszych sięgająca czasów, zapewniła mnie, gdym jej powtórzył co słyszałem, że w całem życiu swojem nie słyszała nic podobnego i nawet nie rozumie co te panny chciały przez to powiedzieć. Ale obecnie mówi się w towarzystwie bez zająknienia bardzo wiele rzeczy, których matki nasze a tem więcej babki nigdy nie słyszały.

Nie sądzę, aby przedwczesna dojrzałość tegoczesnych światowych panien, pochodziła z moralnego zaniedbania ich matek; przyznaję, że wszystkie bez wyjątku matki, bez względu na ich osobistą moralność, pragną aby córki ich były uczciwemi kobietami, ale aby osiągnąć ten cel tak chwalebny, brak im choćby odrobinki prostego zdrowego rozsądku. Tylko zaślepienie mężów odnośnie do żon, da się porównać z zaślepieniem matek co do ich córek. Są zdaje się przekonane, że wszystko w przyrodzie podlega zepsuciu z wyjątkiem ich córek. Mogą one bezkarnie stykać się z najniebezpieczniejszem towarzystwem, bywać na jak najwięcej podbudzających zmysłowość widowiskach, słuchać nader dwuznacznych rozmów: nic to nie szkodzi! Co tylko przejdzie przez uszy, oczy i umysł ich córek, oczyszcza się natychmiastowo. Córki ich, to salamandry mogące bezpiecznie wchodzić w ogień, choćby nawet piekielny. Zaślepiona tem złudnem przekonaniem, matka nie waha się wystawiać córkę na popychający do zepsucia zgubny wpływ tak zwanego życia paryzkiego, które w rzeczywistości jest tylkoześrodkowaniem siedmiu grzechów śmiertelnych.

Ale i te biedne matki i te biedne córki, zasługują przecież na pobłażanie myśliciela, są one poprostu porwane odmętem porywającym wszystkich, falami upadającej cywilizacyi. Jeźli się nie mylę, naród żywiący tylko chuci i żądze, jest narodem chylącym się do upadku, a dziś, od najwyższych do najniższych sfer, jedynem prawem, jedynem wierzeniem jest żądza użycia. Każda inna religia jest już tylko konwencyonalnością towarzyską i nie ma na to rady, a zresztą co do mnie, nie mam nic przeciw temu.

Przyznaję, że panieński bal księżnej i podsłuchana na nim rozmowa, zachwiały mój zamiar żenienia się, ale kilka uwag zdrowej filozofii wróciły mi spokój i utwierdziły w raz powziętem postanowieniu.

I mówiłem sobie, na mocy jakiegoż to prawa mogę wymagać, aby kobieta, którą mam zaślubić, była więcej warta niż ja? Wnosząc z rozmowy tych młodych panien, którą przypadkiem podsłuchałem, niezaprzeczenie w myślach ich ideał nader mało zajmuje miejsca, lecz czy większe zajmuje w moich? Niewątpliwie także tylko z nazwy są chrześciankami, zaś ciałem i duszą zatonęły w pogańskim materyalizmie: ale i ja to samo, a koniec końców mężczyzna powinien poprzestać na żonie jakiej wart, kobieta na mężu na jakiego zasługuje. Inaczej nie byłoby w małżeństwach ani harmonii ani równowagi. Alboż to zresztą żenię się kołysany urojonemi nadziejami, czyż obiecuję sobie znaleźć romans w małżeństwie? Ale jakże mógłbym go tam szukać skoro sam go nie wnoszę? Nie! ja wymagam tylko od małżeństwa przyzwoitości, wygodnego życia, poszanowania, prawego potomstwa, zdrowej, dobrej mieszczańskiej kuchni, a tem każda z tych ładnych dziewcząt obdarzyć mnie może. Poprzestanę więc na tem: bardzo byłoby mi niepożądanem, gdyby żona chciała spacerować ze mną w lesie przy świetle księżyca i rozprawiać o nieśmiertelności duszy.

Naradziwszy się tak sam z sobą, postanowiłem jak inni, zaślubić pierwszą lepszą, byle tylko odpowiadała pewnym elementarnym konwenansom. Ale pomimo tych wszystkich rozumowań, ochłodłem jakoś i postanowiłem nie spieszyć się z zawarciem związków małżeńskich.

Właśnie około tego czasu, to jest dwa lata temu, stryj mój opuścił Paryż, aby zamieszkać na wsi, w skutku czego dozwolił mi odetchnąć spokojniej. Tajemnicze jakieś powody skłoniły go do opuszczenia Paryża, gdyż był zawsze i pozostał dotąd wielbicielem bulwarów. Lubił wiele jeszcze rzeczy czysto paryzkich, ale gniewało go, że nie sprawiały mu już takiej jak niegdyś przyjemności.

Abdykował też i wyjechał do majętności swojej La Savinière, leżącej między Normandyą i Bretanią i tam zajął się hodowlą bydła. Od owego czasu, jako przywiązany synowiec, odwiedzałem go mniej więcej co kwartał; tam jadąc jedną, z powrotem drugą noc spędzałem w wagonie, nigdy dłużej nad jeden dzień nie bawiąc na miejscu. Uczucia rodzinne nie są mi obce, znam jakie wkładają na nas obowiązki, ale obowiązki te mają swoje granice; przekroczyłbym je pozostając w pałacu stryja dłużej nad dwanaście godzin, gdyż wiejskie odory nader mi są niemiłe.

Stryj, mający jakąś słabość do mego towarzystwa, które bardzo lubi (zarówno jak ja jego) znalazł przecież sposób zatrzymania mnie od wielu już tygodni w swoim pałacu La Savinière, na wsi, której tak niecierpię. Blizko cztery miesiące temu, odebrałem on niego list następujący:

„Kochany Bernardzie! Odkryłem na moim, gruncie miejscowość doskonale nadającą się do *steeple chasse.* Wielki plac, łąki, zarośla, baryery,

amfiteatr wzgórz dla widzów, słowem nic nie pozostaje do życzenia. Jest to na pół drogi między pałacem a miastem S., stolicą departamentu, o trzy kilometry od obojga. Tak więc miasto mogłoby dostarczyć pewnych żywiołów dekoracyjnych, wymaganych do podobnej uroczystości: muzyki, władz i publiczności. Mówiłem o tem z prefektem, z poborcą jeneralnym i z merem. Ci trzej dygnitarze (wszyscy, a szczególniej poborca jeneralny, bardzo umiarkowani republikanie) przyklasnęli gorąco mojemu pomysłowi. Prefekt przyrzekł wyjednać od rady jeneralnej potrzebny fundusz, mer obiecuje fanfary i pompierów, poborca jeneralny, ognie sztuczne. Reszta należy do mnie i do ciebie, Bernardzie. Wiem jak lubisz ten rodzaj sportu, jak żałujesz, że tak rzadko teraz we Francyi nastręcza się do niego sposobność. Sądzę, że dość ci będzie powiedzieć o tem, panom Soulaville, Verviers i Cadieres, aby nam zapewnić ich współudział. Ja pisałem już do księcia, do Davsona, Gardirer'a i Couranvaur. Ma się rozumieć, że tak moim jak twoim przyjaciołom, ofiaruję w domu moim najserdeczniejszą gościnność. Dla ich i twojej dogodności, oznaczymy któryś dzień w tygodniu następującym po wyścigach w Caen, tym sposobem, ponieważ odległość jest niewielka, będziemy mogli liczyć na pewną część świetnej publiczności z Caen i z Deauville. Nie odmawiaj mi, kochany Bernardzie, zabawa ta którą zamierzam ponawiać corocznie, jest ostatnią już przyjemnością, jakiej twój stary stryj może jeszcze zakosztować na świecie; wszak nie zechcesz go jej pozbawić."

Jestem naiwny jak dziecko i wpadłem też z głową w sidła tak zręcznie zastawione przez stryja, odwołującego się do jednej z moich najszlachetniejszych namiętności, zamiłowania *steeple-chasse*. Nie podejrzewając, że pod pozorną jego dobrodusznością, kryje się szatański machiawelizm, zastosowałem się do jego poleceń i zaprosiłem kilku z moich przyjaciół, zwolenników sportu i dnia 8 Sierpnia wpadliśmy razem do niego, ja, Verviers, Gardiner, Davson i Cadieres; niektórzy z wracających z Caen i z Deauville, zamieszkali w pobliżkiem mieście, które, dzięki im, ożywiło się znacznie.

Stryj mój, doskonały znawca, tak wybornie zakreślił przebieg i obmyślił przeszkody, że nie potrzebowaliśmy żadnych zmian zaprowadzać. Wyścigi miały miejsce na trzeci dzień, w niedzielę, dnia 10 Sierpnia.

Piękny to był widok. Cała okolica była w ruchu. *Gentlemeni* okoliczni powyciągawszy z szaf swe miękkie buty i przystające pantaliony, przywdziewali je z dumą. Miejscowa arystokracya, rozsiadła się pod obszernym namiotem, przystrojonym chorągwiami, urządzonym kosztem stryja; reszta ludności, w odświętne przybrana szaty, zaległa półkole wzgórz, przyniósłszy ze sobą skromny posiłek. Muzyka municypalna grała *Marsyliankę*... (że też nie ma doskonałej przyjemności!) pompierzy utrzymywali porządek.

Do wyścigu stanęło nas ośmiu. Ja jechałem na koniu księcia, zwanym Talbot 11-gi, Gardiner i Verviers potknęli się w biegu, Couranveaux zwichnął rękę upadłszy, a ja jednocześnie pędziłem jak strzała i dobiegłem do mety, wyprzedziwszy Carillon'a o siedm do ośmiu stóp. Wyścig był bardzo dramatyczny i do najwyższego stopnia obudził zajęcie widzów, wyprawiono mi głośną owacyę. Przeprowadzając mego tryumfującego Talbota przed trybuną, nie mogłem nie zwrócić uwagi na jedną z ławek, na której, wśród mnóstwa powiewających chustek, siedziała osóbka z popielato-blond włosami, niczem nie powiewająca, ale której śliczna we mnie zapatrzona twarzyczka, dowodziła niezwykłego zajęcia i zaciekawienia. Zresztą nie ona sama wpatrywała się we mnie z wyrazem zdradzającym coś więcej jak prosty podziw dla zwycięzcy w wyścigu... widocznie dla pań tych, a szczególniej dla tego ślicznego dziewczęcia, byłem czemś więcej, zapewnie kimś zapowiedzianym i oczekiwanym, poprzedzony pewnym rozgłosem z bulwarów, z klubu i ze sportu, pewną na wpół skandaliczną reputacyą galanteryi, elegancyi i awanturniczych przygód. Czuję z żalem, że wykraczam przeciw skromności, ale jak tu nie przyznać, że pojawienie się takiego osobnika, musiało wywołać poważne zakłócenie w wyobraźniach prowincyonalnych.

Dla uwieńczenia zabawy, stryj wydał wieczorem bal, na który zaprosił liczne towarzystwo z miasta i z okolicy, a żona i córki poborcy jeneralnego, raczyły pełnić obowiązki gospodyń. Tańczyłem walca z jedną z tych pań, gdy nagle oczy moje spotkały się ze spojrzeniem młodej blondynki, którą uważałem na trybunie. Spojrzenie to śledziło mnie w wirze walca, z nieco ukradkową ale stałą i badawczą ciekawością, jaka już rano zwróciła moją uwagę. Zdaje się, że mój niezwykły sposób tańczenia walca, zakrawający nieco na chęć porwania tancerki, zadziwiał ją i zachwycał zarazem.

Odszukałem stryja, mówiąc: — Kochany stryju, widocznie młoda, siedząca tam osóbka, ma nieprzepartą chęć tańczenia ze mną walca, pragnę sprawić jej tę przyjemność i dlatego proszę chciej mnie przedstawić. Po ustach stryja przebiegł jakby nieco złośliwy uśmiech, pozwalający mi domyślać się czegoś, lecz natychmiast zaprowadził mnie do rodzinnego grona, otaczającego młodziutką moją adoratorkę: — „Pozwól pani — rzekł jej — abym z upoważnienia jej matki, przedstawił pani tancerza... mego synowca, wicehrabiego de Vaudricourt... Mój synowiec, panna Alieta de Courtcheuse."

Panna Alieta zarumieniła się mocno:

— Nieskończenie jestem wdzięczna — wyszeptała — ale nie tańczę walca.

A więc odmówiła!... odmówiła!... W tem położeniu człowieka, którego zamierzone dobrodziejstwo odtrącone zostało tak nieprzewidzianie, oniemiałem na kilku sekund, nareszcie oprzytomniawszy, rzekłem:

— To może mogę zamówić panią do mazura?

— I tego nie tańczę.

— Więc czy mogę się ośmielić prosić choć o kadryla?

Uśmiechnęła się lekko prawie ironicznie, na Jowisza!... odpowiadając mi:

— Jeśli pan sobie życzy!

Po tem szczęśliwem zakończeniu trudnego rokowania, całe grono jej rodzinne, złożone z matki, ciotki, stryja i brata, rozpogodziło czoło, z westchnieniem ulgi i zadowolenia.

Kadryl rozpoczynał się właśnie, stanąłem do niego z panną Alietą.

Jej blond włosy, tak rzadkiego popielatawego odcienia, były nieco nastroszone; za całą ozdobę wpięła w nie parę leśnych kwiatków. A jakaż była śliczna! Jest nizkiego wzrostu; nóżki maleńkie jak wieszczki tańczącej po kwiatach. Nadzwyczaj zręczna i kształtna pomimo małego wzrostu, ruchy eleganckie i pańskie. Jest coś jakby przejrzystego w całej jej postaci. W twarzy i w oczach ma szczególniejszy wyraz, będący zarazem mieszaniną nieśmiałości i męztwa, niewinności i gorącego zapału. Też same cechy przebijają się w jej rozmowie, z pewną niekiedy domieszką nieco złośliwej wesołości. Lecz przedewszystkiem wieje od niej nie podlegająca najlżejszej wątpliwości, czystość i prawość.

Tak mi się przedstawiła. Jednak przypominając sobie ów bal panieński u księżnej, nie śmiem wydawać stanowczego wyroku. Zresztą, bądź co bądź, zawsze jest-to dziewczę bardzo zajmujące.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zmiana barw w życiu.

Poezya wydobyta ze starego pieca urokiem młodej poetki (Szczęsnej).

Przyszedłem na świat, wnet białą strugą
Blask, co go oko nieznało,
Objął mnie, olśnił i bardzo długo,
Nic nie widziałem prócz — biało.

Lecz myśl powstała i kształty inne
Dała mi poznać na nowo...
Drogie postacie, cacka dziecinne,
A wszystko było różowo.

Potem zielono było w mej głowie,
Gorzko mi chwile nauki ciekły,
Różowe widma, będące w mowie,
Barwą piolunu powlekły.

. . . .

Młodzieniec wreszcie (ah! sny to były!)
Oczy niebieskie poznałem!
Zadrgało serce, łzy się zjawiły
I Świat Niebieski widziałem.

Lecz rzeczywistość spłoszyła mary,
A mgłę rzuciła przedemną!
Czy to żem zwątpił, czy to żem stary,
Ale mi wszystko dziś ciemno.

Ciemność ta coraz, coraz gęstnieje,
Troski do duszy się garną,
Grób się rozwiera, nikną nadzieje,
I wkrótce będzie mi czarno.

D-r S. K.

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

V.

Kostusia pojechała z ojcem Jackiem do Częstochowy, by ostrzedz zakonników tamtejszych o zbliżających się wojskach szwedzkich, a nasi znajomi, rozentuzyazmowani uniwersałem królewskim, zajęli się przytowywaniem sił, z któremi mieli rozpo-

cząć wojnę z najeźdzcą. Z pomiędzy chłopów zwołanych ze Smolarzy, niewielu dało się wybrać, zaledwie dwunastu, ale dzielnych parobków, których okrutnie ręka do bitki świerzbiała. Zwłaszcza jeden, chłopak jak świeca, ze łbem czarnym i rozczochranym, nazwiskiem Wojtek Okoń, odgrażał się na Szwedów strasznie, bo gadał, że mu tam gdzieś „dziewuchę umęczyli". Jego też pan Samuel, który się zajął ordynkiem tego chłopskiego wojska, wybrał na starszego między parobkami i rzekł im:

— Tego oto Wojtka macie słuchać jak mnie. Co on rozkaże, to ma być święte, żebyście wiedzieli!

Chłopaki z ukosa popatrzyli na Wojtka, który się puszył jak paw i łba zadzierał do góry i gadał:

— Słuchać mnie, bo w pyski będę bił!

Żwan, rozpisawszy parę listów do znanej sobie młodzieży szlacheckiej, siadł na koń i pojechał do Parzymiechów, by i ztamtąd spędzić chłopstwo, zostawiwszy w Smolarzach samego pana Samuela, zajętego sztyftowaniem chłopskiego wojska. Nie podobało ono mu się bardzo, krzywił się czasem i szeptał:

— Jak świat światem, nikt z chłopami nie wojował!

Ale nie było rady. Wiatr wschodni, wiejący ciągle, przynosił smrodliwe dymy, co dowodziło, że Miller, idący do Częstochowy i ocierając się bokami o lasy do Smolarzy należące, palił i niszczył wszystko przed sobą. Myśl o tem wstrzęsła do głębi panem Samuelem i dodawała mu bodźca. Zbroił więc jak mógł swych chłopów, ale w Smolarzach nie było wiele broni. Kazał więc kosy nasadzać na drzewca sztorcem i tak uzbrojonych chłopów postanowił jak można najprędzej poprowadzić na Szwedów. Kiedy wszyscy dzierżąc wysoko ową straszną, nową broń, w której szerokich ostrzach przeglądał się biały śnieg i mętne niebo zimowe, stanęli na dziedzińcu dworskim w jednym szeregu, gotowi już do wymarszu, pan Samuel w hełmie na głowie przyszedł do nich i rzekł:

— Słuchajcie chamy, co wam powiem. Jak Szweda zobaczycie, tak odrazu na niego! Kosą w łeb i basta! Posiekać go tak, żeby jeno kawałki zostały, bo to taka gadzina ten Szwed, że nawet z tylego kawałka jak padalec odrośnie. Wal w łeb, co się zmieści. Ktoby zasie uciekał przed Szwedem, temu ja z tego oto pistoletu w łeb jak psu wypalę. Jak ja lub dziedzic wasz rozkaże wam iść, choćby w ogień, to iść. Rozumieta?

— Rozumiewa! — wołali chłopy i potrząsali kosami, które strasznym, złowrogim brzękiem napełniały dziedziniec dworski. Z za węgłów, z okien, dziewuchy wiejskie przypatrywały się temu musterunkowi i szczerząc zęby do chłopaków, śmiały się i chichotały.

Koło południa przyjechał konno, uzbrojony od stóp do głów, z pachołkiem i luzakiem, z kopią w ręku i koncerzem pod nogą, w hełmie na głowie jeden szlachcic. Przyjechawszy, stanął na dziedzińcu i patrzał na ono wojsko, całkiem dla niego nowe, a wiatr miotał gorąco żółtym proporczykiem u jego kopii. Chłop to był ogromny i kiedy zlazł z konia i szedł do pana Samuela, to ziemia jęczała pod nim.

— Mości panie.. — począł — jam jest Bartek Koszarski, szlachcic herbu Kosy. Odczytawszy z mozołem kartelusz imci pana Żwana a mego druha serdecznego, otom jest. Gdzież tedy jest Żwan?

— Mości panie, pan Żwan a mój krewniak pognał do Parzymiechów, by tam chłopstwo spędzić. Ja tu teraz batmanię.

— A któż waść jesteś?

— Jam jest Samuel Lniski, szlachcic pomorski herbu Ostoja, towarzysz dywizyi pana Czarnieckiego.

— Hm! mości panie — rzeknie na to Koszarski, poglądając po chłopach — jakże to? chłopami będziemy wojowali Szweda?

— Kiedy szlachtą nie można, to trzeba chłopami! — mruknął Samuel.

— Iii, mosanie, mnie się to nie widzi?

— A czemuż to waszmości się nie widzi?

— A bo to chłopy bić się umieją?

— Ej, mości panie, nasze Maćki i Wojtki potrafią to nieraz lepiej od szlachty. Znam ja ich i jak się raz jeno rozmachają, to już machać będą tak, że strzępki polecą...

— Ha! niechże i tak będzie. Mnie bo tam wszystko jedno, bylem się bił. A nie maszże tu waść czego się napić, bom zmarzł, jak pies ostatni?

— Proszę do komnaty.

Tedy poszli do znanej nam już izby i tam Koszarski, zdjąwszy hełm z głowy, ukazał włosy jasne jak konopie, takież wąsy, niebieskie głupkowate oczy i gębę czerwoną jak burak. Napił się wina i gadał:

— Bić to bić, choćby z samym dyabłem na spółkę, byle jeno bić. Mnie okrutnie świerzbi ręka, bom się już dawno nie bił. Matuś nie chcieli mnie puścić, kiedy tu latoś koło Wielunia szła dywizya pana Czarnieckiego i dlategom z wami nie poleciał. Ale teraz jużem zdzierżyć nie mógł, jenom sobie srodze głowy nałamał, żeby kartelusz Ignaca odczytać. Ki dyabeł, żeby pisać do mnie kiedy on wie, drukowane, to jeszcze tam jako tako odczytam, ale pisanego ani w ząb. Matusi nie ma w Wąsoszu, bo Wąsosz nazywa się nasza chudoba. Zaraz tu za lasami Smolarskiemi... Uf! będę też łupił Szweda!

I napiwszy się znowu wina, obtarł wąsy i prawił:

— Kartelusz odczytała mi Jagusia. A znasz waszmość, panie bracie Jagusię?

— Nie, nie znam.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Od przylądka Izabeli do obozu Clay droga nie była daleka, ale bardzo niebezpieczna dla małego statku, z powodu twardych a gęstych brył lodowych zakończonych śpiczasto.

Okręt mógł płynąć bez obawy, ale szalupa zagrożona była rozbiciem i należało zachować wielką ostrożność, aby uniknąć spotkania zdolnego pogrążyć wszystkich w otchłaniach morskich. Byłoby najwłaściwiej wrócić na pokład okrętu i zbliżyć się zwolna do wiadomych brzegów, ale to spowodowałoby nieuniknioną zwłokę, a nie było ani jednej chwili do stracenia. Dzielny kapitan Ash chciałby jednej chwili dostać się do nieszczęsnych rozbitków, bez względu więc na groźne niebezpieczeństwo kazał płynąć szalupie naprzód całą siłą pary, a on sam wraz z całą załogą, z wyjątkiem sternika zajęty był odpychaniem kry, zdolnej wrazie najmniejszej nieuwagi przeszkodzić spełnieniu powziętego zamiaru.

Było to zadanie niełatwe, bo morze burzliwe, fala wodna wznosiła się wysoko, a łoskot uderzających o siebie lodów był prawdziwie ogłuszający. Płynąc jednak na małym statku, podróżni łatwiej przeciskać się mogli wśród nagromadzonych brył ostrokańczastych, do czego posługiwały im pewnego rodzaju naturalne kanały ułatwiające przeprawę. Niezadługo widoczne stały się brzegi miejscowości oznaczonej przez Lockwooda, kapitan rzuca żelazną dzidę, porywa przybliżające szkło i wydaje radosny okrzyk, gdyż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dostrzegł jednego z rozbitków trzymającego w ręku sztandar, z powodu jednak odległości nie mógł oznaczyć na pewno do którego mocarstwa należała wywieszona chorągiew. Wkrótce jednak bystry wzrok kapitana rozróżnił dwie barwy: białą i czerwoną a przytem złote gwiazdy na niebieskiem polu. Wskazówki te były wystarczające do wydania okrzyku na cześć amerykańskiego sztandaru, ale jednocześnie ten zachwiał się i upadł na ziemię. Czyżby to miało być widziadło? Czy ten człowiek trzymający chorągiew ostatniem wysileniem, dał znak przybywającym rodakom i potem pod wpływem niespodzianej radości, zemdlał i spoczywa bez ruchu? Ten co przybył na spotkanie był niewątpliwie najzdrowszym, jakiż los spotkał innych?

Wszystko przygotowano na przyjęcie rozbitków, maszyna parowa ustawicznym świstem daje znak o przybyłym ratunku, a szalupa płynie szybko jak strzała, unikając prawdziwym cudem grożących niebezpieczeństw.

Nareszcie statek przybywa jeżeli nie do brzegu to przynajmniej do nieruchomych lodów, dających dla idącego człowieka aż nadto dostateczną podporę. Kapitan wyskoczywszy z szalupy biegnie po takowych szybko, wdrapuje się na wzgórze, ale nie dostrzega nigdzie ani człowieka ani wywieszonego na chwilę sztandaru. Czyżby uległ złudzeniu?

Ale nie; z po za dwóch wielkich kamieni dochodzi do jego uszów głuchy jęk cierpienia wzywający ratunku. Ash jednym skokiem znajduje się przy leżącym rodaku, podnosi go z ziemi, ale przed oczami obraz niedającej się określić nędzy. Było to prawdziwe widziadło, twarz przypominająca zasuszone mumie egipskie. Biegnący za kapitanem marynarze otaczają opieką nieszczęsnego rozbitka, który więcej ruchem ręki niż słowami wskazuje schronienie swych towarzyszów. Znajdowało się ono w innej miejscowości a nie w tej którą oznaczył Lockwood w swem sprawozdaniu.

Teraźniejszy bowiem obóz założony był tuż obok cmentarza i biegnący szybko kapitan, spostrzegł wkrótce zatknięte w ziemię krzyże, nachylone ku Południowi skutkiem ustawicznych wiatrów pół-

nocnych; dalej rozmaite szczątki instrumentów, posługujących do mierzenia czasu i oznaczenia stanu powietrza; nareszcie wśród skał i kamieni jakąś budę, będącą schronieniem dla nieszczęśliwych rozbitków.

XII.

Wzmianka o wiosennych miesiącach czyni miłe wrażenie na umyśle każdego Europejczyka, przypominającego sobie pomimo woli zielone gaje, kwitnące rośliny i radosne pienia skrzydlatych mieszkańców naszych ogrodów i lasów. W podbiegunowych okolicach wiosna przedstawia odmienny obraz; wprawdzie od 21 Marca słońce znajduje się ciągle na horyzoncie, ale rozsiewany przez niego cieplik ginie w lodowych górach, nie wywierając przez znaczny czas wielkiego wpływu na zmianę temperatury.

Należy przytem zwrócić uwagę na ustawiczne zmiany powietrza przez przemiany kierunku wiatru południowego na północny, lub opadnięcie termometru poniżej zera.

Łagodne więc powietrze i mroźne następują po sobie, wywołując topnienie śniegów, lub też powstrzymując takowe. Rok 1884 podobny był w tym względzie do innych, ale ze zwiększoną znacznie potęgą. Zaraz po ukazaniu się słońca siła jego promieni w związku z ogrzanem powietrzem, płynącem raptowie od równika, wywołały nagłe topnienie śniegów i prawdziwe potoki wody. Obóz Clay znajdował się przy wysokiej skale, ochraniającej go od północnych wichrów.

Schronienie to było bardzo dobrze obrane na zimę, ale podczas opisanego zdarzenia okazało się nader niedogodnem. Na szczycie skały znajdowały się wieczyste śniegi, które pod wpływem ciepła uległszy większemu niż zazwyczaj stopnieniu, napełniły obóz Clay wodą, po której powierzchni unosiły się nawet posłania jego mieszkańców. Przeniesienie szybkie było konieczne, inaczej mogli utracić resztę nędznych zapasów. Na nieszczęście brakowało wszystkim sił bez wyjątku, do odbycia dalekiej podróży, należało zatem zatrzymać się na pierwszem lepszem wzgórzu nieprzystępnem dla spadającej wody, ale zato narażonem na przewiew północnego wiatru. Los zaiste prześladował pierwszą kolonią amerykańską, zaledwie bowiem uskuteczniono przesiedliny i wzniesiono budę bez dachu, bo łódź dla jej ciężaru zostawiono na miejscu, kiedy nagle zaczął wiać silny wiatr z Północy i znów wróciły mrozy wstrzymujące spadek wody. Taki stan rzeczy trwał całe dwa miesiące, zimno dało się we znaki przybywającym na ratunek załogom okrętowym, pomimo wszelkiego rodzaju wygód, cóż dopiero rozbitkom nieposiadającym prawie żadnych środków zaradczych. Nędza zwiększała się z dniem każdym, ubytek w magazynach, mimo niesłychanej oszczędności był coraz znaczniejszy; nareszcie przyszła ta straszna chwila, w której wydzielanie najmniejszych nawet racyi okazało się niemożliwem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Bezczelni, komedya Emila Augier'a na benefis pana Leszczyńskiego.

„Drugiemu cesarstwu, na ostateczne spodlenie Francyi, brakło tylko czasu. Drugie ośmnastolecie takich rządów, a mielibyśmy nie Gallią lecz Dyoklecyanową Romę, w której, gdyby żył dłużej Ludwik Veuillot, niebrakłoby i religijnych prześladowań". Oto co powiedział niegdyś z mównicy geniusz naszego stulecia: W. Hugo, i przyznać trzeba, miał słuszność zupełną.

Obraz tego moralnego upadku i obraz francuzkiego inteligentnego społeczeństwa z owych czasów, dał nam w swej pracy E. Augier, chłoszcząc delikatnem, salonowem piórem, niemniej przeto bezlitośnie rzezimieszków we frakach, jeżdżących powozami i zamieszkujących pałace, a z drugiej strony ówczesną rewolwerową prasę i uwłaczającą wszelkiej moralności... giełdę.

Choć ćwierć wieku upłynęło od chwili, gdy po raz pierwszy burzę oklasków w Comedie française, a nazajutrz, burzę niezadowolnienia w prasie, wywołali „Bezczelni" niemniej przeto, choć to praca specyalnie dla Francyi wykonana, spotykamy w niej, jakby wczoraj odtworzone typy jednostek naszego społeczeństwa, wyłączając naturalnie prasę, która ani takiego wpływu u nas, ani tak bezczelnie kupczących piórem, dzięki Bogu, nie posiada.

Jeżeli zaś znaleźliby się u nas tacy Giboyer'owie, to marne to są figurki, piszące dla chleba i chyba tylko nadużyciem dobrej wiary jakiej redakcyi, zdołaliby wywoływać skandale.

Cesarstwo w 1861 r. było w pełni rozwoju i pomyślności t. j. spychało Francyą we wstrętną kałużę; za przykładem ówczesnych dam dworu, wielkie damy stawiały co dzień niemal cześć swoją na kartę, wyrazem sumienia społecznego był pieniądz, zdobywano nim urzęda, mitry i pastorały, zdobywano w kilku minutach serca niewieście. Nie mówiono kobiecie *je t'aime* ale prosto *je suis riche*, jak znów ona, miasto wyrazów: czy kochasz mnie, używała prosto: jesteś bogaty?

Nad tem wszystkiem wszechwładnie panowała gra na giełdzie i poniewierano najzacniejszemi ludźmi, układano się grzbietem do góry przed rozkutymi z łaski Napoleona galernikami Brestu i Tulonu, jeżeli ich oświetlały szpiegowskie zasługi z dni grudniowych lub uśmiechnęła się gra na giełdzie w $^3/_4$-tych częściach swych tajemnic polegając na najzwyklejszem podejściu drugich, vulgo oszustwie. Słynny z procesu i uwolniony... dla braku dowodów, bankier Mires, służący klerykalnemu stronnictwu za pieniądze, słynny z rozpusty w prywatnem życiu Veuillot, książę de Polignac i inni: oto przeciętne ówczesne typy, odtworzone, dla pierwszej w świecie sceny, mistrzowskiem piórem Emila Augier.

„Bezczelni" to banda „rycerzy przemysłu" nietylko już wyzyskująca społeczeństwo ale wprost urosła do takich rozmiarów, że ją łatwo za to ostatnie wziąć można. Cóż dziwnego więc, że wszystkie gromy spadły na autora; handel ciałem ludzkiem, oszustwo, rozpusta, przekupstwo, potwarz i t. p. przestępstwa, przez jednostki pod osłoną mieszkań tam i sam popełnione, nikną w wirze potocznego życia; wywleczone nawet przed kratki sądu przysięgłych, dają nam wypadki wyjątkowe tylko. Inaczej to jednak wygląda, gdy zbrodniarzy widzimy odzianych wykwintnie, słyszymy turkot ich ekwipażów, ocieramy się o nich, gramy z nimi w resursie w preferansa, chciałem rzec w klubie w écarté, dajemy im córki nasze za żony i t. d, a ludzie ci mają eleganckie ruchy, wyrażają się wykwintnie, czuć od nich jaźmin i fiołki parmeńskie. Bankier, oszust spekulujący na dobrą wiarę ogółu, dziennikarz błocący przeciwnika, kobieta oddająca się bez miłości, to rzeczy powszednie, na które nie zwraca się uwagi, słyszymy o nich tylko; a tu nagle zjawiają się wobec nas. Nie widzimy oszustwa, nie drażnią nam uszu karczemne wyrazy, ani roznamiętniają pocałunki, a przestępstwo niemniej przeto wydaje owoce. Wtem właśnie potęga Augiera, że stwarzając „Bezczelnych" umiał im nadać pozory ludzi zwykłych, odziać, że tak powiem w Veuillotowską szatę. Jedyny uczciwy może człowiek, dziennikarz Sergine ma jednak wadę... dziennikarską, zabierania cudzych żon, jak to uczynił z markizą d'Aberire.

Vernouillet, parweniusz, bankier nieprzebierający w środkach, dochodzi nareszcie do... kryminału; że jednak złodziejstwo na wielką skalę przestaje nosić takie pospolite miano a przybiera więcej odpowiednie milionom „nieuwanej operacyi finansowej", sąd uwalnia zręcznego bandytę, a społeczeństwo czci go jak ofiarę. Wtedy rozzuchwalony, bo zrehabilitowany rzezimieszek, nabywa dziennik p. t. „Sumienie publiczne" aby za jego pośrednictwem biczować opinią i napędzać w swe sieci coraz nowe ofiary. Na scenie, ten dziennik, służy mu do wyjawienia stosunku margrabiny z Serginem; jest to zemsta, że wielka dama, starająca się dlań o pannę z posagiem, córkę milionera Charrier'a, gdy poznała istotną wartość przeciętnego giełdziarza, odmawia swego pośrednictwa. Giboyer, dziennikarz, który napisał artykuł rewolwerowy, to syn stróża, zdolny z natury, krętemi drogami wygramolił się na wierzch, wykierował na publicystę, pokątnie pracuje na spółkę z arystokratą Markizem, który, nienawidzi demokracyą jako wroga wydzierającego jego kaście władzę nad tłumem, wroga siejącego światło śród ludu a więc pomagającego temu ostatniemu do wyłamania się z objęć widma ohydnej przeszłości.

Charrier, drugi bankier to człowiek o tyle jeszcze uczciwy, że wobec syna rumieni się „za dawne nieudane operacye finansowe" i zdobywa się nawet na rzecz najtrudniejszą dla dorobkiewicza, wynagrodzenia z własnej szkatuły z operawanych ongi pełnych pugilaresów.

Dla markiza, nowe kierunki streszczają się w Vernouillecie, w Giboyer'ze w takim Charrier'ze i jego rozhulaczonym synku, jedyny zaś *człowiek*, którego spotyka, któremu warto podać rękę, trzeba trafu, że i ten, według jego mniemania, wart niewiele, bo mu zabrał... panią markizę. To jedyny słaby punkt „Bezczelnych", gdyż p. d'Auberire powinien był lepiej pilnować żony, a właściwie, nie żenić się z tak znacznie młodszą od siebie kobietą. Stosuneczek jednak z piękną markizą nie przeszkadza Serginowi kochać się na zabój w pannie Charrier, której też rękę w ostatnim akcie otrzymuje. Margrabia wyzywa na pojedynek Giboyer'a-Charrier, dla dogodzenia synowi wynagradza krzywdy i... *finita la comedia*.

Podczas gdy Sardou i Dumas wynajdują najrozmaitsze efekta sceniczne i obaj wraz z Pailleronem przepadają za półświatkiem, Augier nakreślił swą komedyę tak naturalnie, najdrażliwsze sceny otoczył takim wdziękiem, taką wykwintno-

ścią akcyi i słowa, że więcej może niż tamci porywa tych co nielubią nagłych zwrotów i kuglarskich na scenie niespodzianek. Wszystko w „Bezczelnych" płynie jak z płatka, rozwija się jak z kłębka jedwabiu, a kto z czytelników zna jego „Syna Giboyer'a", ten łatwo pojmie, że znakomity ten utwór jest tylko dalszym ciągiem pracy z 1860 r. tylko w zupełnie dodatnim kierunku.

P. Leszczyński obrał komedyę Augiera na obchód swój jubileuszowy, dwudziestopięciolecie pracy na scenie. Samo już nazwisko „Augier Emil", liczną zwabiło publiczność i niepożałowała tego, gdyż reżyserya, dołożyła starań, aby i obsada ról i wystawa pozostawiały jak najmniej do życzenia prócz... podłogi, której wyszorować zapomniano.

Panna Marczelówna, jako magrabina i sz. jubilat grali wybornie, za to pan Tatarkiewicz jako wszechwładny Vernouillet za mało miał pawiej pychy, którą każdy dorobkiewicz, Mires czy Kikste-kiciure odznaczać się musi koniecznie. Prażmowski w roli młodego Charriera był nieporównany, role lekkie, swobodne, eleganckie, odtwarza istotnie zadziwiająco, równie jak i panna Wisnowska jako panna Charrier. Literat i dziennikarz pan Kotarbiński, grając Sergina, był zupełnie w swoim żywiole, czuł jednak, zdaje się zanadto zaszczyt posiadania... markizy i przez to w scenach z nią, był trochę krępowany a przecież piękna arystokratka otaczając mu szyję rączkami zdejmowała chyba markizowską koronę i... rękawiczki.

Z pod naszej strzechy.

Treść: Kasa dla strażaków pomysłu pana Feliksa Fryzego. — Zasługi straży ogniowej. — Uroczysty obchód półwiekowej rocznicy jej utworzenia. — Niedźwiedzi koncept jednego z pism humorystycznych. — Niepowodzenie Adeliny Patti. — Trupa francuzka. — Mody ubrań balowych. — Kiedy tańce rozpoczyna polonez a kiedy walc na trzy *pas*. — Bal dzieci.—Niefortunność tego pomysłu. — Przypuszczalne skutki.— Bale dla lalek w Paryżu. — Zakład w Anglii o wyścigi gęsi z indykami. — Bal starców. — List z Ameryki i szczegóły dotyczące Polaków osiadłych w tej zamorskiej krainie.—Sprostowanie kłamstwa.

Dzięki pięknej myśli pana Feliksa Fryzego, redaktora Kuryera Porannego, fundusz na utworzenie kasy pomocy dla rannych strażaków w czasie gaszenia pożarów, zwiększa się codziennie i w chwili gdy to piszemy, wynosi już pięć tysięcy kilkaset rubli. Nie jest-to jeszcze kwota dostateczna do zabezpieczenia przyszłości ludziom narażającym się na niebezpieczeństwo dla naszego dobra, zawsze jednak pięknie przemawia za ofiarnością Warszawiaków i zacnością pomysłu p. Fryzego.

Zasługa straży niezaprzeczona. Przez czas półwiekowego swego bytu, była czynną przy gaszeniu 2 800 przeszło pożarów, których ilość zwiększą się ciągle razem ze wzrostem miasta, bo gdy w pierwszym roku jej założenia działała zaledwie przy 29 pożarach, w roku zeszłym liczba wypadków ognia dosięgła cyfry stu, czyli przeszło potroiła się.

Uroczystość rozpoczęta nabożeństwem w kościele katedralnym ś-go Jana, przedstawieniami, poczęstunkami, obiadem, zakończyła się pohulanką taneczną w koszarach, przy dźwiękach orkiestry, a jakiej na szczęście żaden popłoch pożarny nie przerwał.

Do balów więc w obecnym karnawale, przybył strażacki i to prawdziwy, złożony z samych strażaków i rodzin przyjaźniących się z nimi, co jedno z pism naszych humorystycznych wyśmiało, przedstawiając uczestniczki balu jak koczkodony, grube, niezgrabne, mogące i do tańca i do balu wstręt obudzić, ale nie chęć brania w nim udziału. Czy ten niedźwiedzi koncept był w swojem miejscu, łatwo osądzić, w każdym razie brak mu najważniejszych rzeczy... prawdy i taktu.

Adelina Patti zagniewała się na całą Europę a przedewszystkiem na Warszawę, która dzięki ze wszystkich stron podnoszonym głosom, uniknęła sideł na jej kieszeń namotanych. W Antwerpii skutkiem wysokich cen, nie sprzedano ani jednego biletu, w Brukselii to samo a w innych miastach dotąd nieuszczęśliwionych występami tej rozkrzyczanej na wszystkie strony śpiewaczki, nie przyszło nawet do układów z dyrekcyami teatralnemi.

W miejsce jednak drogocennej Patti, mieliśmy przez dwa wieczory dość także cenne towarzystwo artystów francuzów, na przedstawienia których bilety z ceną podwójną w jednej prawie chwili rozszarpane zostały. Figielek ten kosztował Warszawę trzy tysiące rubli bezpowrotnie straconych, bo zabranych przez wędrowną trupę z dobrą firmą, ze zręcznym impresaryem, ale posiadającą tylko jednego prawdziwego artystę jako śpiewaka i aktora.

Z balowych szranek karnawałowych, dochodzą nas wieści, że na bale obecnie używane są bardzo, czarne sukie z lekkich materyi jak: gazy, iluzye, tiule, drukowanych lub przetykanych w najfantastyczniejsze złote desenie. Zamawiania do tańca już teraz nie tancerki zapisują w karneciku ale kawalerowie... na mankietach od koszuli, zapewne papierowych.

Nieszczególnie to przemawia za pamięcią młodych szermierzy w zapustnej wesołości.

Co do tańców, to jeżeli w towarzystwie balowem dość znajduje się osób, dla których szał zabawy do dalekiej należy przeszłości, tańce winny się rozpoczynać polonezem, w przeciwnym razie walcem na trzy *pas*, tańczonym a polonez służy tylko do przeprowadzenia dam do stołu do wieczerzy przygotowanego.

Oprócz balów różnego rodzaju zapowiadanych w Warszawie jest także zamiar urządzenia balu dla dzieci. Pomysł to bardzo niefortunny, zawcześnie starzejący dzieci i zaszczepiający w nich zarody przyszłych nudów niczem nie dających się usunąć.

W latach minionych już podobny bal dziecinny odbył się raz z wielkiem powodzeniem, a w zeszłym roku do kroniki różnych zdarzeń i wypadków, przybyło kilka samobójstw młodzieniaszków, kto wie czy nie uczestników tej balowej uciechy publicznie odbytej. Dziecięcy umysł niezmiernie wrażliwy, wszelkie działanie na siebie przyjmuje z podwojoną siłą. Zakosztowawszy rozrywki starszym dotąd jedynie dozwolonej, cóż dziwnego, że zapłonie niechęcią do lat swych młodych, stanowiących niezwalczoną przeszkodę do używania świata w całej pełni obudzonych w nim pragnień. Ot i następstwa ztąd nietrudno dalej wyprowadzić.

W Paryżu w obecnym karnawale o dziecięcych balach jakoś nie ma mowy, ale w miejsce ich świat arystokratyczny i pieniężny urządza bale dla... lalek swoich dzieci. Dzieci posełają sobie nawzajem drukowane zaproszenia od swoich lalek i w dzień oznaczony schodzą się w toaletach spacerowych z lalkami ustrojonemi w pyszne suknie balowe. Usadowiwszy je na krzesełkach i ławkach umyślnie przygotowanych, dziatwa zabawia się oglądaniem strojów swych pieszczotek a później o ich wadach i przymiotach prowadzi rozmowę.

Lichy to strasznie pomysł i wydziwić się niemożna jałowości jego, chociaż wylęgłego w głowach arystokracyi rodu i złota. Ale i możnowładzcy angielscy nielepszym konceptem zalecili się w swych zwykłych wybrykach ekscentrycznych.

Oto książę Queensberry, założył się o 10,000 funtów szterlingów czyli o sto tysięcy rubli, że gęsi w pochodzie przez drogę wynoszącą 20 mil angielskich, wyprzedzą indyki. Dosyć liczne grono dam i panów towarzyszyło temu pochodowi. Nad wieczorem indyki wyprzedziły swe współzawodniczki o pięć mil, ale za to po zachodzie słońca, rozbiegły się po lesie, powskakiwały na drzewa, zkąd żadną miarą spędzić się nie dały. Gęsi zaś choć pomału jeszcze w nocy stanęły u mety i zakład wygrały.

Hrabia znów Cooper także w Anglii, kończąc lat 75 wieku, zaprosił do swego pysznego pałacu, wszystkich w mieście Lejcester znajdujących się starców w równym mniej więcej jego wieku.

Zaproszenie chętnie przyjęto, gości zgromadziło się około dwóch tysięcy, z pomiędzy których panna Higgs była najstarszą jako mająca lat 107 i tej dano pierwsze miejsce przy stole.

Wybryczki te zagranicznych panków, niewiedzących co robić z pieniądzem nie przez nich zapracowanym, wyglądają coś więcej jak na dziwactwo bardzo szkodliwe dla społecznego porządku.

Gazeta Polska otrzymała list z Ameryki, obejmujący dość ciekawe wiadomości, dotyczące ziomków naszych w tej zamorskiej krainie zamieszkujących. Autor listu pochodzi z Mławy, jest izraelitą i udał się do Ameryki cztery lata temu. Zasobów grosza nie zabrał z sobą ale czuł, że miał spryt i temu zupełnie zaufał. Był parę lat w sklepie polskim, gdzie się nauczył pisać po polsku i po rossyjsku, następnie przeszedł do bióra sądowego a w roku 1881 puścił się do Ameryki przed branką wojskową. Język angielski poznał o tyle przez drogę, że się mógł już rozmówić, po przejściu zaś nieuniknionego nowicyatu biedy i nawet nędzy, dostał się na posługacza do sklepu, potem awansował na subiekta, następnie został wojażerem handlowym.

Poznawszy wreszcie język dokładnie, pracował przy adwokacie. Obecnie już jest żonatym z Amerykanką, ma w Chicago własne dwa sklepy i nadto został notaryuszem.

Po tych szczegółach, dotyczących osoby autora, tenże donosi, że ludność polska w Amerzce wynosi razem z żydami co najmniej pół miliona. Napływ największy do tego czasu, był z pod panowania pruskiego, potem z Galicyi austryackiej a najmniej przybyło z Królestwa. Ze stowarzyszeń jest najliczniejszy tak zwany Związek narodowy, mający główne siedlisko w Chicago, filie zaś we wszystkich Stanach, gdzie tylko zamieszkują Polacy. Żydzi zajmują się prawie wszyscy handlem, do rzemiosła i przemysłu fabrycznego rzadko się biorą, rolnictwo zaś nic ich nie zajmuje. W Chicago jest wiele firm kupieckich wcale poważnych, żydów z Warszawy; jeden z nich niejaki J. N. Choiński z Królestwa, jest obecnie kandydatem na gubernatora Kalifornii, drugi zaś Paweł Freund z Warszawy, jest komendantem wojska w Stanie Teksas.

Przy tej sposobności, czujemy się w obowiązku sprostować wiadomość o hufcu wojskowym żydów w Bulgaryi niby utworzonym, który jakoby szczególną odznaczający się walecznością, straciwszy połowę swoich rycerzy, przez księcia Aleksandra był pod niebiosy wysławiany. Otóż wszystko to okazało się kłamstwem najwierutniejszem, wywołującem podziw, jak mogą znajdować się ludzie zaprzątający się koncypowaniem podobnych niedorzeczności? Nie brak ich i u nas na nieszczęście!

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Bez pożywienia.** W jednej z wiosek gubernii wileńskiej Maryannna G., żona leśniczego, matka dwojga dzieci, w przystępie melancholii uciekła z domu bez wieści. Szukano nieszczęśliwej po całej okolicy, lecz nadaremnie. Upłynął miesiąc bez żadnej wiadomości, nareszcie po upływie miesiąca, znaleziono ją przypadkiem wśród puszczy leśnej, ledwie żywą. Odzienie na niej zgniło, a jedną rękę miała odmrożoną. Chociaż chora, była jednak przytomną.

Przywieziona do domu, opowiedziała, że przez ten czas błąkania się w lesie, zupełnie nic nie jadła, tylko śnieg kładła w usta.

Sądzili wszyscy, że po takiem wygłodzeniu umrze, tymczasem zaczęła się na zdrowiu poprawiać i dotąd żyje, skarży się jednak na dreszcze.

*** **Dziwna obojętność.** Że publiczność nasza, nie zrażając się szalenie wysokiemi cenami, uczęszcza tłumnie na przedstawienia francuzkich artystów, to już jest kwestyą jej własnej kieszeni, której krępować nie mamy prawa. Że jednak ta sama publiczność lekceważy obywatelski obowiązek popierania krajowych instytucyi, jestto fakt bardzo smutny, który zasługuje na zaznaczenie.

Doroczny koncert na rzecz szkoły weterynaryjnej nie sprowadził tyle gości, ile spodziewać się należało, co najmniej drugie tyle pomieściłaby jeszcze sala ratuszowa.

Gdy francuzom w Paryżu niebardzo się wiedzie, poduprzéć ich winniśmy, a nasza młodzież chyba także dla kompensaty w stolicy Francyi pójdzie szukać pomocy i środków do dalszej nauki.

*** **Pan Lefiere,** który tu przyjechał dla produkowania sportu łyżwiarskiego, nie widział pewno warszawianek i warszawiaków, mknących po lodowej powierzchni w Łazienkach lub w Saskim ogrodzie. Inaczej bowiem zwątpiłby choć trochę we własne mistrzostwo i nie odbywał tak dalekiej podróży (do Petersburga) aby pokazać że jest dobrym łyżwiarzem.

„Profesor łyżew" zatrzymawszy się w przejeździe; zamierzał dać przedstawienie, smutny traf jednak zrządził, że przed owym zajmującym i zapewne dość kosztownym spektaklem, p. L. zwichnął nogę, wychodząc z sanek, i ma podobno zaraz wracać do Paryża.

A szkoda—bylibyśmy się przekonali, że nasze łyżwiarki, nie tytułujące się profesorkami, mogłyby go jeszcze tej sztuki nauczyć.

*** **Zacny obywatel.** W Sławucie powstać ma w tych czasach progimnazyum męzkie czteroklasowe. Właściciel dóbr sławuckich, książę Sanguszko, przeznacza na szkołę gmach, oraz 10 tysięcy rubli stałej rocznej zapomogi.

Przytem dziesięciu synów urzędników administracyi dóbr sławuckich, będzie pobierało bezpłatną naukę.

*** **Nowe muzeum.** W posesyi „Frascati" należącej do hr. Wł. Branickiego, otwartem zostanie muzeum zoologiczne i entymologiczne. Urządza je hr. Ksawery Branicki, syn hr. Konstantego, z pomocą prof. Taczanowskiego i Stolzmana. W pięknym gmachu, który był niegdyś ostatnią lożą wolnomularską w Polsce, hr. Ks. Branicki umieści swe bogate zbiory, przeważnie z Afryki pochodzące.

Jest przytem zamiar urządzenia przy muzeum biblioteki przyrodniczej.

Otwarcie muzeum nastąpi dnia 1 Lipca, a wstęp dla publiczności będzie bezpłatny.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Gdyby tak u nas!** Praktyczną i godną naśladowania nowość, postanowiła wprowadzić brukselska rada gminna w dziedzinie wychowania kobiet. We wszystkich szkołach nauka gotowania ma być obowiązkową i podzieloną będzie na kurs praktyczny i teoretyczny, który między innemi obejmować będzie sztukę czynienia zakupów i naukę prowadzenia rachunków targowych i kuchennych.

W wyższych szkołach żeńskich, nauka gotowania ma być również wprowadzoną.

*** **Tajemnica listów** nigdzie chyba nie jest tak pilnie przestrzeganą, jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie rząd otacza swoją opieką słowo pisane. Jakaś pani Martin, w Saint Louis, zażądała przyaresztowania męża swego, z powodu, że ośmielił się otworzyć i czytać list do niej adresowany.

Według odpowiedniego paragrafu regulaminu pocztowego, małżonkowie nie mają prawa wzajemnego kontrolowania prywatnej korespondencyi.

Paragraf ten pozbawia dramaturgów i powieściopisarzy tamtejszych, świetnych i sensacyjnych kombinacyi, jakich dostarcza przejmowanie listów żony przez męża, lub naodwrót. Gdyby tak było we Francyi, połowa skandalicznych romansów, których tam piszą wielkie mnóstwo straciłaby główny motyw i zubożałaby fatalnie.

*** **Słówko o Mierzwińskim.** Sławny nasz śpiewak nie jest równie sławnym lingwistą, chociaż wybierając się w świat szeroki, powinienby się kilku języków wyuczyć koniecznie. Niemczyzna tego artysty stała się powodem arcykomicznego qui pro quo.

Gdy mu chórzyści w Królewcu, po odśpiewaniu partyi Eleazara wyprawili serenadę, zmęczony już bardzo, do snu się zabierając, Mierzwiński wysłał do nich kelnera, aby tym panom w jego imieniu podziękował. Sługa wyszedłszy przed dom, powtórzył słowa artysty, lecz nie tak jak należało, gdyż nie zrozumiał dobrze łamanej mowy polskiego tenora. Zamiast tedy powiedzieć że „pan Mierzwiński posyła tysiąc podziękowań", oświadczył „tysiąc marek".

Chórzyści ucieszyli się niezmiernie i poszli przepić owe tysiąc marek. Jakże przykry spotkał ich zawód gdy się dowiedzieli, że nic nie dostaną! Mierzwiński przehulanych marek nie zapłacił, a niemniej musieli sami rachunek w knajpie zaspokoić.

*** **Autor Giocondy** Amilkar Ponchieli, znany kompozytor włoski, zmarł w Medyolanie w Styczniu r. b. Urodzony w 1834 r. kształcił się w medyolańskiem konserwatoryum, następnie zaś pracował jako kapelmistrz w różnych miastach swej muzykalnej ojczyzny.

W roku 1858 wystawił pierwszą operę „Narzeczeni", znaną również u nas, chociaż mniej lubianą niż Gioconda, a po upływie lat czternastu jeszcze raz ją przerobił.

Gioconda była śpiewaną poraz pierwszy w Medyolanie, w 1874 roku, do trzeciej zaś opery „I Lituani" kompozytor wziął tekst z „Konrada Wallenroda".

*** **Do powieści** „Ogniem i mieczem" Juljusz Kossak wygotował cały cykl wspaniałych illustracyi, a jeden z lwowskich fotografów wydał już pierwszy zeszyt, w efektownej okładce.

Zawiera on cztery, starannie pod względem reprodukcyjnym wykonane kartony, przedstawiające: 1) spotkanie Skrzetuskiego z Chmielnickim, 2) przygoda w drodze do Łubniów, 3) pochód Chmielnickiego z Tuhajbejem, 4) napad Bohuna na Kurcewiczów.

Całe wydawnictwo obejmie trzy zeszyty, czyli razem dwanaście kartonów, a o ile z pierwszych wnioskować można, pod względem artystycznym da nam efektowne album, które wielbicieli talentu Sienkiewicza interesować powinno.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Января 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 5.

N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z dolmanowem okryciem.

Dolman odrobiony z tureckiego materyału na watowanej jedwabnej podszewce, nawet podczas lekkiej zimy służyć może do spacerowego ubrania. Zwierzchnie rękawy kraje się razem z plecami; obłożenie dane było z pluszu naśladującego pióra, kwasty i sznury jedwabne w kolorach tureckiego materyału.

N. 2. Ubranie z płaszczykiem z materyału *bouclé*.

Przody płaszczyka zdobi oddzielnie dodana plisowana baskina; plecy krajane są razem z kapturkiem i fałdowanem karoczkiem, pod którem przyszywa się bryty tylne. Podszewka w kapturku i wyłogi przy rękawach z moiré-antique.

N. 3. Ubranie z paletocikiem dla niedorosłej panienki.

Paletocik z boku zapinany, obłożony futrem, odrobić można z pluszu, sukna, lub z innych zimowych materyałów.

N. 4 i 5. Kołnierzyk i mankiet z drewnianych perełek.

Deseń powiększony narysować trzeba na materyi czarnej, podłożonej sztywnym tiulem, kontury wyszyć nitką złotą, ściegiem łańcuszkowym, perły drewniane bronzowego koloru naszyć mocną nicią, nakoniec wyciąć starannie materyę przy brzegach deseniu.

N. 6. Kołnierzyk z gazy jedwabnej.

Skośny pasek różowego atłasu $6\frac{1}{2}$ cent. szeroki, podłożony sztywnym tiulem i dopasowany do objętości szyi, pokrywa się zwierzchu różową haftowaną gazą, zaszywa w ząb na środku z przodu, a z boku zapina się na haftki pod kokardą z 5 cent. szerokiej różowej wstążki ottoman.

N. 7. Spódniczka z haftowanym szlakiem. Forma i deseń na arkuszu z krojami N. VII, fig. 30—32.

Model spódniczki zrobiony był z czarnej flanelki, od której ładnie odbijał deseń wyszyty długiemi ściegami, włóczką crevel, kolorem różowym i blado żółtym. Haft zaczyna się w odstępie 9 cent. od dołu; spódniczkę z brytów prostych kraje się podług miary podanej na fig. 30, a formę połowy kolistego paska dajemy na fig. 31. Pomiędzy wierzch i kretonową podszewkę paska wszywa się spódniczkę z przodu i z boków przyfałdowaną, z tyłu kilka razy przemarszczoną. Połowę szerokości deseniu dajemy na fig. 32; haft będzie czyściejszy, jeżeli deseń nie na spódnicy, tylko na kanwie niedzielonej odrysujemy i na niej wyszywać będziemy.

N. 8—9. Suknia dla małej panienki.

Ryc. 8 i 9 przedstawia z przodu i z tyłu model sukienki, którą odrobić można z materyału wełnianego gładkiego lub deseniowego z dodaniem aksamitu. Do długiego stanika zapinanego na dwa rzędy guzików, wstawiona jest w górze pomiędzy przody część plisowana, zakończona z brzegów ranwersami aksamitnemi; w plecach na środku dane fałdy. Spódniczkę z przodu i z boków fałdowaną, z tyłu zmarszczoną, zdobią z boków 3 patki aksamitne. Pasek z przodu zaszyty bawetowo, sute szarfy, kołnierz i mankiety przyszyte od spodu są aksamitne.



N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z dolmanowem okryciem. N. 2. Ubranie z płaszczykiem z materyału bouclé. N. 3. Ubranie z paletocikiem dla niedorosłej panienki.

N. 10—11. Poduszka do kanapy. Haft Mossul.

Ten rodzaj haftu opisywaliśmy szczegółowo, w drugim kwartale Tyg. Mód z r. 1881; dziś dla braku miejsca musimy ograniczyć się do krótkiej wzmianki. Model do ryc. 10 haftowany był podług dawnego wzoru, na cienkiem płótnie, mającem 64 cent. długości a 38 cent. szerokości, a deseń z jednego tylko poprzecznego brzega zakończony był szlaczkiem $5\frac{1}{2}$ cent. szerokim, robionym ściegiem plecionym, pelą w kolorze czarnym, zielonym i ponsowym. Haft mossul robić trzeba jedwabiem kordonkowym. Ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości jedną gałąź deseniu, która powtarza się na całem tle w sposób wskazany na ryc. 10. Rodzaje ściegów zapełniających środki figur są wyraźnie oznaczone na deseniu; kontury deseniu oszyć dwoma rzędami ściegów sznureczkowych, z których zewnętrzny czarny robić jedwabiem do szycia. Długie gałązki zapełniał kordonek słomkowego koloru, małe naprzemian robić kolorem żółtym i ceglastym; duże kwiaty i trzylistne figury kolorem szamoa i blado czerwonym, w innych figurach użyte były w harmonijnem połączeniu kolory: szafirowy i jasny bordo, różowy i jasno niebieski, oliwkowy i trawno zielony. Koronka złota 6 cent. szeroka, 2 cent. szeroka szmuklerska pleciona torsada i bufa z jasno niebieskiego atłasu, z którego dana także podszewka, zdobią brzegi poduszki.

N. 12. Ubranie negliżowe. Krój i plecy na dodatku z formami N. II, fig. 6—11.

Model dogodnego rannego ubrania odrobiony był z niebieskawo popielatego sukienka; do stanika podszytego czerwoną flanelką przyszywa się od spodu spódnicę 460 cent. szeroką, wkoło równo w duże zmarszczki ułożoną. Pomiędzy przody stanika, zapinanego na środku na kryte haftki, wstawiona jest część fałdowana z karmazynowego pluszu, której forma oznaczona jest linijką na fig. 6. Mankiety pluszowe, grelotki i sznur z kwastami z karmazynowego jedwabiu.

N. 17. Serweta do przykrycia stołu. Haft płaski bez podkładania; model wzięty z wystawy węgierskiej.

Tak układ deseniu jak i rodzaj haftu robionego na grubem płótnie białem bawełną ponsową dobrą do prania, jest wzięty z wystawy węgierskiej, z działu robót ręcznych, upowszechnionych w komitecie Oedenburgskim. Serweta składała się z czterech kwadratów, trzymających po 40 cent. szerokości a 70 długości, spojonych wstawką z kratki ażurowej, albo robioną na widełkach podług próbki danej na ryc. 36 w N. 51 Tyg. Mód z r. przeszłego, która robiona była z nici niewarowych, a wyszyta bawełną ponsową. Brzegi serwety oszyte były nadmarszczoną nicianą koronką. Na ryc. 36 w N. 6 dajemy mały model płasko rozłożonej serwety.

N. 22. Wachlarz balowy lub wieczorowy.

Model wachlarza zrobionego z piór białych strusich, miał 60 cent. długości, razem z 20 cent. długą rączką z kości słoniowej. Ozdobę wachlarza stanowił różnobarwny motyl, przyczepiony do piórka środkowego.

N. 23. Upięcie z kwiatów i wstążki do przypięcia na ramieniu przy sukni balowej. Zobaczyć ryc. 24 w N. 6.

N. 24. Balowe ubranie głowy.

Upięcie składało się z kokardy złożonej z włókienek niebieskich piórek, z pukli i końcy z jasno niebieskiej atłasowej wstążki 3 cent. szerokiej i z kitki drobnych piórek na złoconych łodyżkach. Na piórkach naklejone były centki z konchy perłowej, błyszczące i mieniące się za poruszeniem piórek.

N. 25. Upięcie do sukni.

Bukiecik z róż herbacianych otoczony jest czarną koronką chantilly i związany w górze kokardą z długiemi końcami z czarnej i żółtej wstążki ottoman 3 c. szerokiej.

N. 26. Ubranko strojne wieczorowe.

Czółko w ząb scięte ze sztywnego tiulu, mające 14 cent. długości a 5 środkowej szerokości, objąć wkoło agremanem oszytym wstążeczką, ogarnirować z przodu koronką złotą, 3 cent. za brzeg wystającą; na koronce przypiąć kokardę z 5 cent. szerokiej wstążki ottoman, w środku której umieszczony jest koliber. Z tyłu do czółka przypięty pukiel ze wstążki, na którym przypięte 16 cent. długie strusie pióro, koloru miedzianego do cieniu.

N. 27—28. Wałek pod głowę, pokryty skórą z deseniem wycinanym. Deseń na dodatku z formami fig. 41.

Model wałka mający 37 cent. obwodu a 42 cent. długości, pokryty był skórą wołową naturalnego koloru, ozdobioną deseniem, który stanowią figury, oddzielnie wycinane ze skóry. Sposób takiej roboty opisany był dokładnie w Tyg. Mód z r. 1883; deseń jednej gałązki dajemy w naturalnej wielkości na fig. 45. Wyciętej gałązce nadaje się kształt wypukły, ciemne cienie malują się farbą bronzową, jaśniejsze złotem, a tło pozostawia w kolorze naturalnym. Krając skórę na pokrycie wałka, trzeba dodać do długości na boki zmarszczone; brzegi podłużne od spodu zeskrobać i skleić, a na sklejeniu dodać zwierzchu 1 cent. szeroki pasek skóry, wyszyty ściegiem krzyżowanym. Brzegi przymarszczone zdobią baryłki drewniane, owinięte wązkiemi paskami skóry, jakie ryc. 28 przedstawia w połowie naturalnej wielkości. Sznur zastępuje pasek skórzany, 108 c. długi.

N. 29. Bukiety ułożone w zgrabnych sabotach drewnianych, napełnionych mokrym piaskiem.

N. 31. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem. Krój na dodatku z formami N. IV, f. 16-22.

Cienka linijka na fig. 16 oznacza formę prawego, na wierzch zachodzącego przodu; plecy fig. 18, dopełniają bryty tylne fig. 19*a* i 19*b*. Bryt *a* marszczy się od *b* do gwiazdki i przyszywa od spodu do lewej, a od gwiazdki do *b* gładko do prawej połowy przodu. Na gładką pra-

wą stronę dodaje się zwierzchu bryt *b*, w górze podług znaków sfałdowany wachlarzowo; i także od spodu do pleców od gwiazdki przyszyty. Nakoniec gładko spuszczony brzeg boczny, razem



N. 4. Kołnierzyk z drewnianych perełek.



N, 5. Mankiet z drewnianych perełek.



N. 6. Kołnierzyk z gazy jedwabnej.

z bocznym brzegiem bryta *a* wszywa się od *b* do punktu pomiędzy szew boczny. Gdy przy rękawie (fig. 20) spodnią część podwiniemy do góry, wszywa go się do płaszczyka od *f* przez *d* do *e*. Nazwierzchniej prawej stronie kołnierza z ranwersem (fig. [illegible]) oznaczona jest linijką kr[illegible]ą pod spód



N. 8. Suknia dla małej panienki. Zobaczyć plecy na ryc. 9.



N. 7. Spódniczka z haftowanym szlakiem. Krój i deseń na arkuszu z formami N. VII, fig. 30—32.



N. 10. Poduszka do kanapy ozdobiona haftem mossul. Deseń na ryc. 11.

ddąca część lewa. Do prawej połowy przodu oodany jest także ranwers, którego kształt iznaczony jest kreseczkami na fig 16a. Na modelu płaszczyka odrobionego z bronzowego wełnianego materyału *frise*, kołnierz, ranwersy, wykłady na rękawach i podszewka pod część wachlarzową, dane były z moiré antique takiegoż koloru. Płaszczyk zapina się na środku przodów na kryte haftki, a pod ranwersem kołnierza na dwa ozdobne szmuklerskie guziki.

Opis do N-ru 6.

N. 1 i 12. Płaszczyk z kapturkiem dla dziewczynki lat 2—4. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—15.

Fig. 12—15 dają formę górnej połowy płaszczyka, dopełnionego u dołu spódniczką 22 cent. długą, 190 obwodu mającą, ułożoną z przodu w płaskie fałdy, z tyłu zaś w potrójne kontrafałdy. Model z białego lodenu na lekko podwatowanym białym kaszmirze; przody krają się po 6 cent. szerzej dla założenia zakładek. Kapturek z przodu ma formę wykładanego kołnierza, z tyłu wyłożony fałdowanym atłasem, a brzegi objęte pluszem podług odznaczonej linii prostej.

N. 2 i 13-14. Ubranie dla chłopczyka robione szydełkiem. Krój (lat 5-7) na arkuszu N. V, fig. 23—26.

Składające się z majteczek i kaftanika, odrobione z ciemno bronzowej włóczki ściegiejm tunetańskim; na fig. 23—26 daeimy formę w naturalnej wielkości, podług której dopasowawszy ją podług figury, łatwiej zastosować robotę niż z długiego liczbowego opisu oczek. Każdą połowę majteczek robi się oddzielnie płasko rozłożoną, zaczynając od dołu, a gubiąc i przybierając z brzegów bocznych, stosownie do formy, poczem brzegi boczne zszywa się lub zrabia od lewej strony, a obie połowy majteczek łączą się środkiem



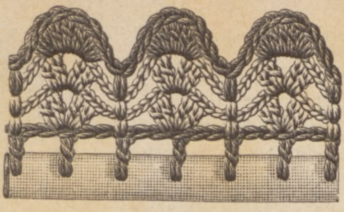
N. 9. Ubranie dla małej panienki Przód na ryc. 8.

ze sobą. Brzegi dolne zakończone są szlakiem w wypukłe muszki, przedstawionym w naturalnej wiel-



N. 11. Deseń do haftu mossul, na poduszkę ryc. 10.

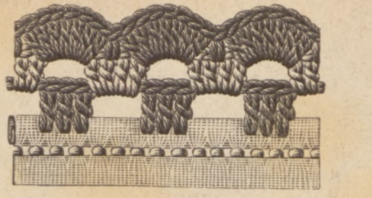
kości na ryc. 14; brzegi rozporka przedniego obrobione są czterema rzędami oczek ścisłych, brzegi tylnego tylko jednym rzędem. Pasek górny liczy 5 rzędów o. śc., w których w każdej połowie z przodu przybiera się po 3 o., z tyłu po 8 o.; dziurki do przypinania majtek do stanika spodniego, dają się dwie z przodu a po jednej na końcach paska. Przody i plecy kaftanika zaczynają się od brzegu dolnego; przy prawej połowie robią się dziurki do zapinania na guziczki; brzegi kaftanika zakończone są szlakiem podług ryc. 14, zwężanym wokoło wykroju szyi. Rękawy robią się płasko wzdłuż, robiąc kilka rzędów stopniowo krótszych na zgięciu łokcia. Pasek obciskający plecy, dany na 14 cent. od dołu i zapięty w środku na guzik liczy 5 rzędów na szerokość.



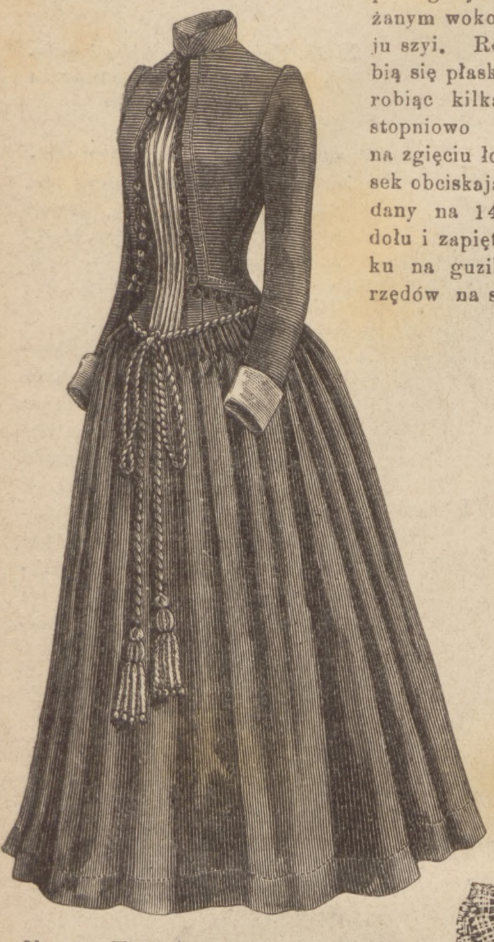
N. 13. Koronka szydełkowa do do kostiumu słowiańskiego ryc. 15 i 16.



N. 15. Kostium słowiański. Zobaczyć także ryc. 13, 14, 16, 19 20 i 21. Krój i desenie na arkuszu z formami N. VIII, fig. 33—34b.



N. 14. Koronka szydełkowa do kostiumu słowiańskiego ryc. 15 i 16.



N. 12. Ubranie negliżowe. Krój i widok pleców na dodatku z formami N. II, fig. 6—11.

N. 3—4. Suknia z draperyą. Krój i plecy na arkuszu N. X, fig. 37—38.

Przód i boki sukni pokryte są pluszem w poprzeczne pasy, założonym z boków w kontrafałdę; plastron na staniku, kołnierzyk i mankiety, tudzież podszycia przednich części draperyi (patrz *a* na fig. 37) dane są z gładkiego pluszu. Jak to widzimy na ryc. 3, przednie brzegi draperyi ułożone są w dwie skośne fałdy, oznaczone liniami i liczbami na fig. 37; krzyżyki i kropki wskazują boczne podpięcie, zaś brzegi boczne z tyłu są wolno puszczone. Ryc. 4 uczy przypięcia brytów tylnych za pomocą haftek i odpowiednich im kółek, przyszytych do pleców stanika; oba bryty przykrojone podług *b* i złączone szwem, złożone są gwiazdką do gwiazdki i przy górnym brzegu zaszyte w szeroko odstające fałdy, wskazane na ryc. 4, przypięte na haftki przymocowane od spodu, o których wspominaliśmy wyżej.

N. 5—6. Ubranie wizytowe z przypinanym trenem. Patrz ryc. 30 w N. 5. Krój na arkuszu N. IX, fig. 35—36.

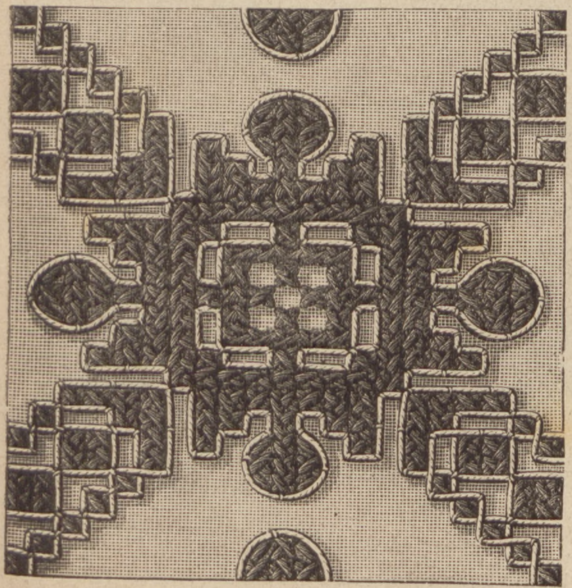
Na strojną wizytową suknię, przedstawioną z przypiętym trenem na ryc. 30 w N. 5, a bez trenu na ryc. 5 w dzisiejszym numerze, składa się materya faille, adamaszek w aksamitny deseń, gładki aksamit i 20 c. szeroka koronka. Tren, który o wiele podnosi wspaniałość ubrania, dajemy oddzielnie na r. 6, a wymiar przez połowę na fig. 36; od spodu podszywa się cały materyą, a wzdłuż brzegów bocznych skosami aksamitnemi 25 cent. szerokiemi. W środku z tyłu od góry zostawiony rozpór 48 cent. długi, a rogi górne obydwóch brytów założone są spiczasto podług ryc. 36 i tak zaszyte. Spódnicę z przodu zdobią cztery falbany, boki sukni dane z adamaszku, tylne bryty przysłonięte upięciem sięgającem aż do plisowania dolnego. Upięcie to składa się z czterech brytów *a* i *b*



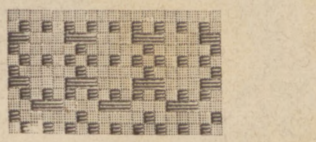
N. 16. Kostium słowiański. Krój, desenie i próbki jak do ryc. 15.



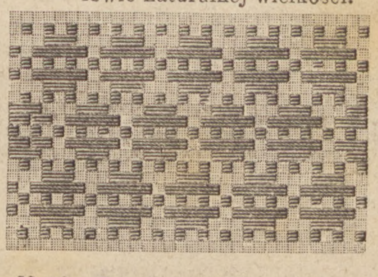
N. 17. Serweta do przykrycia stołu. Haft płaski bez podkładania.



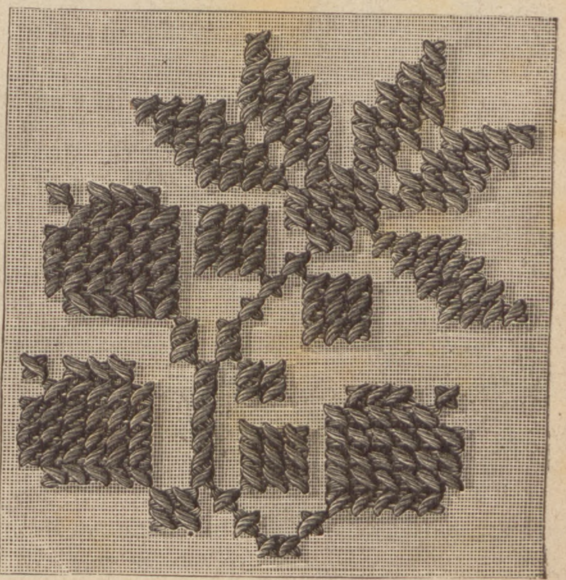
N. 18. Haft ściegiem krzyżowym plecionym, kontury obwiedzione sznureczkiem złotym. Deseń do ryc. 31 w N. 6.



N. 19. Lewa strona haftu ryc. 20 w połowie naturalnej wielkości.



N. 20. Deseń i próbka roboty szlaku do fartuszka do ryc. 15 i 16. Zobaczyć lewą stronę na ryc. 19.

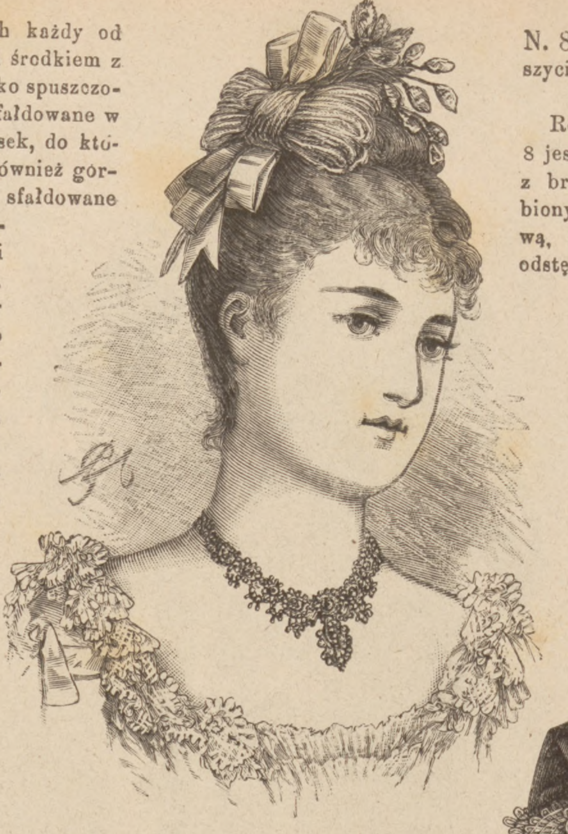


N. 21. Jedna figura deseniu do haftu ściegiem odstającym na spódnicy do kostiumu ryc. 15 i 16.

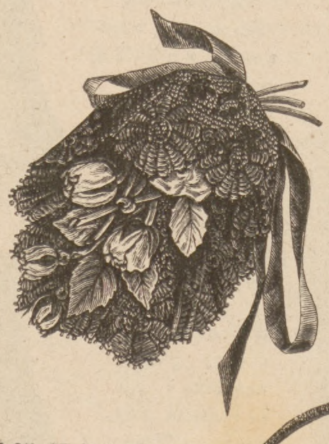


N. 22. Wachlarz balowy lub wieczorowy.

(fig. 35), zeszytych każdy od gwiazdki do dołu i środkiem z tyłu. Krótkie gładko spuszczone bryty tylne *b*, sfałdowane w górze i wszyte w pasek, do którego wszywają się również górne brzegi brytów *a*, sfałdowane od 1 do 1 i zachodzące do przodu sukni podług ryc. 30. Podpięcie à panier utworzy się, skoro część brytów zachodzącą naprzód sfałdujemy w skośnym kierunku od 26 do 53, niżej zaś od 53 do 70 zbierają się ściśle i podnoszą aż do paska, poczem złożone gwiazdką do gwiazdki odwrócone są nakształt pukla do tyłu i dochodzą do brytów *b* podług ryc. 5. Duże klapki aksamitne dodane na wierzchu krają się podług litery *c* na fig. 35. Przybranie stanika wskazuje ryc. 30 w N. 5.



N. 24. Balowe ubranie głowy.



N. 25. Upięcie do sukni.

N. 7. Pantofel z wyszyciem krzyżykowem.

Krój i deseń na arkuszu N. VI, f. 27—29.

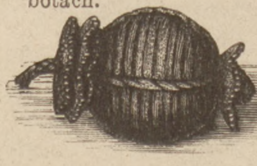
Zwierzchnie pokrycie stanowi cienka flanelka ciemnego pawiego koloru, a podszewkę flanelka ciemno ponsowa; tegoż koloru jest włóczka crevel do wyszycia krzyżykowego. Potrzeba najpierw połączyć z sobą części zwierzchnie, dać wyszycie podług fig. 29, zeszyć z sobą części podszewki, a następnie dopiero zeszyć podszewkę z wierzchem. Brzeg górny i rozporek zakończone są dzierganiem. Wielkość podeszwy wewnętrznej wskazuje linia cienka na fig. 28, stanowi ją cienka tektura, pokryta warstwą waty i flanelą, zaś podeszew widoczna zewnątrz kraje się z grubego filcu podług fig. 28, obejmuje wokoło brzegów taśmą i przyszywa do pantofla. Do związywania służy sznur ponsowy z kwaścikami.



N. 27. Wałek skórzany pod głowę, ozdobiony figurami wycinanemi ze skóry. Deseń na dodatku z krojami fig. 41.



N. 29. Bukiety z kwiatów ułożone w sabotach.



N. 28. Grelotka do wałka pod głowę ryc. 27.



N. 30. Suknia z oddzielnym trenem. Zobaczyć ryc. 5 i 6 w N. 6.

N. 8—9 i 26. Ręcznik z wyszyciem i kratką ażurową. Patrz fig. 42.

Ręcznik przedstawiony na r. 8 jest z płótna domowej roboty, z brzegów poprzecznych ozdobiony wyszyciem bawełną ponsową, podług fig. 42; o 1 cent. odstępu powyżej szlaku krzyżykowego dany pas kratki ażurowej, 6 cent. szeroki, w którym wyciąga się i zostawia naprzemian po 4 nitki; brzegi płótna przy kratce zamocowane są dzierganiem ze ściegów ponsowych i białych. Ryc. 9 wskazuje w naturalnej wielkości kratkę i objaśnia sposób wiązania. Górny szlaczek wyszyty jest podług ryc. 26 bawełną ponsową, brzegi ręcznika zakończa mocna niciana koronka.



N. 23. Upięcie z kwiatów i wstążki, do przypięcia na ramieniu do sukni balowej.



N. 26. Ubranko strojne wieczorowe.

N. 10—11. Ręcznik ze szlakiem haftowanym.

Ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości deseń, powtórzony drugi raz w odwrotnym kierunku na szlaku do ryc. 10, 22 cent. szerokim; gwiazdki dane jako rzucik haftują się tak jak kwiatki w szlaku, z dodaniem trzech listków. Kontury i łodyżki deseniu wyszyte łańcuszkiem, haft zaś odrabia się ściegiem płaskim bez podkładania, bawełną średniej grubości w kolorze szafirowym, różowym, żółtawo bronzowym i ponsowym.

(*D. n.*)



N. 31. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem. Krój i widok pleców na dodatku z formami N. IV, fig. 16—22.